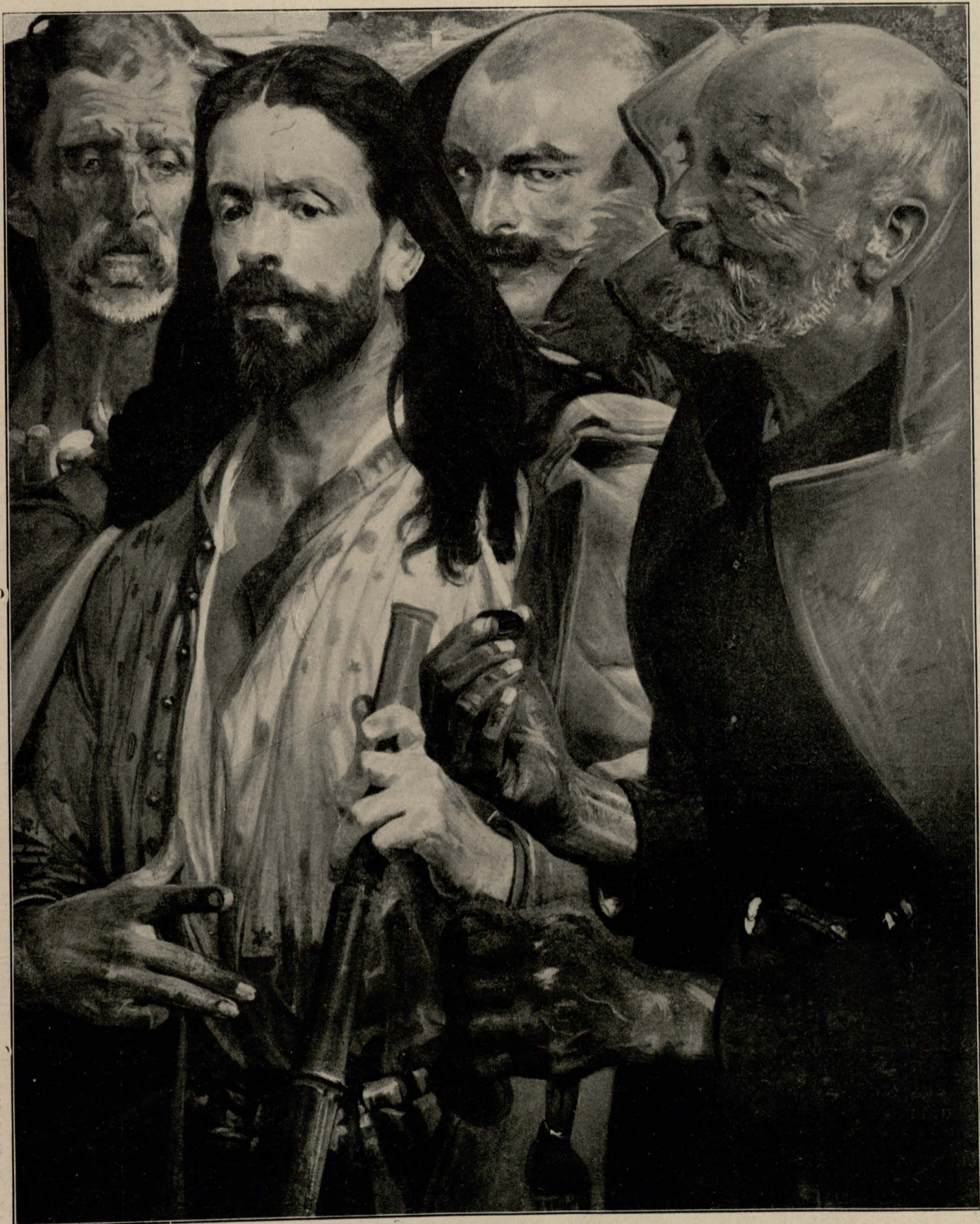


# TYGODNIK ILLUSTROWANY



„GROSZ CZYNSZOWY”. ŚRODKOWA CZĘŚĆ TRYPTYKU  
Z Salonu T. Z. S. P.

JACEK MALCZEWSKI

OR-OT:

**MIASTO-BALLADA.**

Mknie hejnał z wieży, jak dawna fanfara,  
I dzwony świątyni biją w świat daleki,  
Gra pieśnią Kraków, jak ballada stara,  
Którą rycerskie wyśpiewały wieki.

Piasty, Jagiełły, z zwartemi powieki,  
Śpią na Wawelu, kędy cichość szara,  
A Panna Marya udziela opieki  
Miastu—i tęsknot spełnia się ofiara...

W każdą noc jasną, srebrną, księżycową,  
Widzisz w zaułkach wizję purpurową  
Tych, co oddawna leżą w trumnie głuchej...

Idą i gwarzą aż pod ranek biały,  
A gród-ballada śpiewa Polsce całej  
To, co mu nocą szepcą zmarłych duchy...

ZDZISŁAW DĘBICKI:

**KRAKÓW.**

Z CYKLU: „DUSZE MIAST POLSKICH“.

„Kraków, stołeczne miasto, wszystkim miastom polskim przodkuje, a pod względem liczby kościołów i wspaniałości niektórych można mówić, że jest *soror et aemula Romae*.”

Tak pisał bezimienny autor w r. 1621. Od tej pory *soror et aemula Romae* przeszedł koleje, które wycisnęły na jego starych murach piętno smutku i żałoby. Dawna stolica królów polskich, świadek największych dziejowych tryumfów oręża polskiego i myśli politycznej, cementującej za Jagiellonów budowę wielkiego państwa „od morza do morza”, stał się Kraków z biegiem lat tylko skarbnicą pamiątek, przybytkiem ruin wiekopomnej chwały narodowej, sarkofagiem, który zawarł w sobie całą przeszłość naszą.

Tem większą jednak odegrał i odgrywa nieustannie rolę w życiu Polski porobiorowej, dla której od szeregu pokoleń stał się miejscem świętej niejako pielgrzymki.

I nie można już powtarzać dzisiaj za Bohdanem Zaleskim: „mało jest ludzi, co byli w Krakowie”, bo z najdalszych krańców dawnej Rzeczypospolitej ciągną do Krakowa liczne rzesze pielgrzymów, aby pokłonić się jego relikwiom i ducha pokrzepić wśród ciszy, która czujnemu uchu zwierza tajemnice przeszłości, jak muszla, wydobyta z głębin oceanu.

Niema Polaka, któryby, jadąc zagranicę, nie zбочzył do Krakowa, nie poszedł za głosem tego wewnętrznego wołania, które w nim wstaje na dźwięk

samej nazwy królewskiego miasta i nie oddał mu hołdu w głębokich pokładach własnej duszy.

Wiosną, ledwie zazieleni się pierścień plantacji miejskich, idących śladami linii, po której biegły niegdyś mury i wały miejskie, Kraków zaczyna się roić od przejezdnych. Po mowie rozpoznasz w nich przybyszów ze wszystkich zakątków ziemi, gdzie brzmi nasz język: i z Korony, i z Litwy, i z Rusi, i z najdalszych kresów ukraińskich, gdzie Polska została już tylko w sercach. Czasami zjawiają się nawet goście z za morza, wysłańcy kolonii polskich w Ameryce. A jeden cel i jedna myśl zbożna prowadzi wszystkich do tej Mekki nieszczęśliwego narodu.

Do spokojnej, sennej atmosfery miasta, gdzie w samo południe, nierzadko, idąc ulicą, można usłyszeć odgłos własnych kroków, wnoszą Polacy z innych dzielnic pewne ożywienie, jednak niewielkie, bo rychło owłada nimi poważne skupienie i uroczysta cisza.

W zetknięciu z pamiątkami Krakowa wiąże się w każdej duszy przeszłość z teraźniejszością. Tu, gdzie każdy kamień ma swoją historię, gdzie wśród starych murów mieszka poezja, nieznana innym miastom polskim, gdzie dusza na widok tyłu nie ulegających zagładzie świadectw wysokiej kultury narodu, zepchniętego z drogi rozwoju, pogrąża się w bolesną zadumę i uderza w krzyk psalmów Jeremiaszowych, musi milknąć gwarne, ruchliwe, strojne życie współczesne. Niema tu dla niego miejsca, nie może ono wdzierać się swoją falą w te zaułki, gdzie, przyłożywszy ucho do starych, murszejących cegieł, usłyszeć można jeszcze chrzęst zbroic rycerskich i tupot hułców, wracających z potrzeby grunwaldzkiej, w szumie sztandarów krzyżackich, w tryumfie i chwale zwycięstwa.

W podwórcach Wawelu, gdzie wyobraźni jawią się na krużgankach Majestaty królewskiej w otoczeniu biskupów, kanclerzów, hetmanów, w katedrze, w jej skarbcu, w jej podziemiach, w kościele Maryackim, w Rynku, pod arkadami Sukiennic, w Muzeum Narodowym, w dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej, wśród starych kamienic na Floryańskiej, w zamykającej ją bramie ze słynnym „rondlem”, w kościołach, gdzie kwitną na

ścianach cudowne malowidła i płoną w oknach kolorowe witraże, na mogile Wandy i na kopcu Kościuszki, wszędzie słyhać głos jeden: Ojczyzna.

I oto nagle uświadamia się w każdej duszy to, co Wyspiański tak krótko i zwięźle określił: „Polska—to wielka rzecz!” Zdajemy sobie jasno i wyraźnie sprawę z tego, czym było to państwo, dźwigane wolą i mocą geniuszu narodowego, a potem zdruzgotane przez wielki kataklizm dziejowy, któremu na imię nie tylko *nieszczęście*, ale także *wina własna*. I budzi się w nas *sumienie narodowe* i ogarnia nas ogromny, nieutulony smutek, a jednocześnie szukamy na tych zwaliskach potęgi i dawnej chwały zielonego bluszczu nadziei.

I znajdujemy go.

Kraków-sarkofag i świątynia narodu, w której przechowują się resztki tlejącej purpury jego dawnej świetności, stał się pierwszym zwiastunem renesansu polskiego. Tu, u podnóża Wawelu, wytrysnął najobfitszy źródło krzepiącej wiary w jutro.

Stara *Alma Mater*, od pół tysiąca lat niosąca pochodnię światła, zapaloną u najwcześniejszych ognisk humanizmu, od chwili, gdy jej przywrócono język ojczysty, niezamordowane kładła fundamenty pod budowę gmachu współczesnej nauki i sztuki polskiej.

Dzięki jej wpływom Kraków nie pozostał na biernej roli strażnika powierzonych sobie pamiątek, roli niewątpliwie pierwszorzędnej, ale stał się jednocześnie ważnym i niezastąpionym ośrodkiem, wytwarzającym w teraźniejszości kulturę umysłową i artystyczną.

Poza nauką, która znalazła tu dla siebie najpomyślniejsze w ostatnim czterdziestolecu warunki i uczyniła wiele, Kraków potrafił wytworzyć jedyną w Polsce atmosferę, sprzyjającą twórczości artystycznej.

Stało się to z dwóch względów. Naprzód działał tu nastrój miasta, działały te wpływy tajemnicze, idące od starych murów, zawieszane pod stropami świątyni, mieszkające w głosach dzwonów, zakłute w pieśń hejnałową wieży Maryackiej, potem—szczęśliwe położenie, ułatwiające dopływ świeżych prądów myśli europejskiej.

Podczas gdy kordon graniczny pomiędzy Warszawą a Zachodem postawił mur i uniemożliwił jej swobodne czerpanie ze źródeł jego kultury i cywilizacji, Kraków bez stempla cenzury i bez paszportu policyjnego mógł sięgać po wszystko i mógł utrzymać bezpośredni związek z wielkimi ogniskami nauki i sztuki zachodniej, bo miał drzwi do Europy otwarte.

I korzystał z tego i czynił to z głębokim zrozumieniem swoich zadań narodowych, prze-



STARY KRAKÓW

JULIAN FAŁAT

tapiając obce złoto w polskich tyglach.

Ostatnie dwudzieściolecie dało już plon niemały tych wysiłków, podjętych dla obudzenia twórczości rodzimej.

Kaz. Tetmajer, nie-dościgniony malarz Podhala tatrzańskiego, kuja-cy we wspaniałem słowie wiecznotrwały pomnik światu góralskiemu, i Wyspiański — ten, co trzewiami narodu zatargał, rzucił mu w twarz

płomień wstydu i podał pełną czarę goryczy, oto dwaj przedstawiciele poezji, urodzonej u stóp Wawelu i dojrzewającej wśród murów krakowskich. Zwłaszcza Wyspiański, któryby nie był, gdyby nie było Krakowa.

A sztuki plastyczne? Malarstwo i rzeźba? Od wielkich rapsody rycerskich na płótnie, od malowanych poematów historycznych Matejki do najmłodszych przedstawicieli pędzla i dłota, jaki liczny poczet talentów mocnych i niepowszednich? A każdy był w Krakowie i każdy mu część duszy swojej zawdzięcza.

Odrodzony teatr i architektura, jedyna w Polsce architektura, bo niema jej nigdzie-indziej, oto jeszcze jedna zasługa Krakowa.

*Ateny Polskie*—mówimy o nim i mówimy nie bez słuszności.

Obok wielkiej roli, która polega na rozniecaniu w każdej duszy polskiej miłości ku pomnikom dawnej chwały—żagiew, zapalona u słonecznego ołtarza sztuki narodowej, jasna, promienna, oświetlająca nadzieją drogi, prowadzące w jutro.

Te są dwa składniki zasadnicze i naczelne duszy Krakowa.

## WIELKI WIZYONER.

To wszystko, czem żyła dusza polska w tem tragicznem a podniosłem stuleciu dziejów naszych, to wszystko, co się w niej kłębiło, jak splot goryczy i żalów, tęsknot i wspomnień, porywów i pogrzebień, ten złotolity pas, szczerwiony krwią purpurową i osrebrzony gorącemi łzami, to wszystko zamieszkało w sercu wielkiego artysty, który jest najznakomitszym przedstawicielem w malarstwie typowej melancholii ducha polskiego w epoce porozbiorowej, melancholii, której wykladać rozumowo niepodobna, ale którą tylko odczuć można, jeśli się w duszy ma struny, trącane ręką fatalizmu dziejowego i wrażliwe na mesyaniczne tony wieszczów naszych.

Umysłowość Jacka Malczewskiego wydaje mi się tak nawskroś przepojoną kataklizmami Ojczyzny, serce jego w każdym momencie życia tak ściśle bije w takt z sercem tej Polski na krzyżu, umiłowanej przez genialnych romantyków naszych, że wizjoner-malarz we wszystkich dziełach swoich zaznaczać musi to, co czuje, że, jakkolwiek motyw poruszyłby, zawsze, obok tego motywu, równoległe z nim, owszem, na pierwszym planie nawet będzie to, co jest zasadniczą, nieustanną, twardą, mocną, jak śmierć, myślą poety.

Więc będzie to widzenie anheliczne pół-



„GROSZ CZYNSZOWY“. TRYPTYK  
Własność p. Hollenderskiego w Zawierciu

JACEK MALCZEWSKI

nocnej krainy lodów z zorzą polarną nad bezbrzeżną, przeraźliwie od śniegów białą płaszczyną; więc będzie to siwobrody wygnaniec, patrzący beznadziejnie smutnym wzrokiem w stronę Ojczyzny, której nigdy, już nigdy nie ujrzy; więc będzie to „posieleniec” w swoim maleńkim ogródku sybirskim, hodujący kwiaty, które młodzieńcem zrywał w kraju; i starzec, ściskający kurczowo krzyżyk z Męką Pańską, jakby przypomnienie ożywcze jeszcze większych udręczeń — i zwycięstwa; i ojciec na etapie, skamieniały nad bladym trupkiem dziecka; i legiony aniołów, ciągnące do krainy męczeństwa; i pochody siermiężnych postaci, długie, bezlitosne pochody, jakby symbol poszukiwania Chrystusowej Prawdy, która wykwiła z tułactwa, z nędzy, z bólu, z tęsknoty. Takie oto są cechy tej niepospolitej organizacji twórczej. Genialny plastyk i znakomity poeta złączyli się w jednej osobie, aby duchowi polskiemu wystawić dokument nieprzerwanego trwania, nieprzerwanej spójni z niedawną i dawną przeszłością. Trzeba Malczewskiego odczuć w całej pełni jego podniosłej duszy, aby uprzytomnić sobie to górne, to, powiedziałbym, prorockie stanowisko, jakie on w sztuce polskiej po królewsku, niepodzielnie zajmuje.

I dla mnie osobiście z obrazami Malczewskiego wiąże się nierozdzielnie Słowackiego pieśń. Nie wiem, czy to jest słuszne, ale wiem, że tak właśnie czuję. Patrząc na wizy malarza, słyszę dźwięczące mi w sercu słowa poety, czytając słowa te, widzę, jak konieczne ich dopełnienie, obrazy twórcy „Dwóch pokoleń” i „Etapu”. Słowacki i Malczewski są mi, jak „Lelum i Polelum”, skuci jednym łańcuchem najwyższych umiowań i najwyższych cierpień.

a o



FRAGMENT Z TRYPTYKU „KORDYAN” J. MALCZEWSKI

## PAMIĘTNIKI O SYBIRZE.\*)

Pod ławką czytywało się nieraz na lekcyi pamiętniki Rufina Piotrowskiego, Ewy Felińskiej, albo Agatona Gillera. Serce trzepotało, jak ptak, ze wzruszenia, z wrażeń, czerpanych z łzami ciekącej książki i ze strachu, aby na jej czytaniu winowajcy nie schwytano. A oderwać się od niej było tak tru-

dno. I pochłonęliśmy wszystko, co ta literatura syberyjska posiada, a jest tego już dużo, bardzo dużo.

I słusznie uczynił dr. Janik, że wydał swoją monografię ciekawą a smutną. Książeczka to skromna, pisana z uczuciem, gorąco, szczerze, poprostu. Autor opowiada o tej jedynej na świecie literaturze wygnańczej, datującej oddawna, bo od lat stu kilkudziesięciu, od czasów Konfederacji Barskiej. Pierwsze pamiętniki to wspomnienia Beniowskiego i Chojckiego, potem z epoki kościuszkowskiej pamiętnik Kopia, niesłychanie zajmujący i barwny, dalej listy Januszkiewicza ze stepów kirgiskich, wspomnienia Wolickiego, Jasińczyka...

Czyż wyliczać? Czyż trzeba wymieniać tyle nazwisk, których dźwięk powinien być znany wszystkim? A jednak myślę, że pamiętniki wogóle, a ten ich dział w szczególności, dziwnie mało są znane szerokiemu ogółowi. Oczywiście, wpłynęła na to przedewszystkiem ich niecenzuralność, ale nie tylko ona. U nas ludzie niezmiernie mało zajmują się historią, i stąd właśnie wynika nadzwyczajne niezrozumienie przeszłości, niezdawanie sobie sprawy z najważniejszych momentów dziejowych i to, coraz częstsze spotwarzanie minionych czasów, bez żadnych danych po temu.

Książeczka d-ra Janika jest próbką zaledwie, scharakteryzowania tego odłamku pamiętnikarstwa naszego, próbką, którą powitać należy najżyczliwiej i zachęcić autora do dalszej pracy w tym kierunku. To, co wymienił, nie wyczerpuje przedmiotu, nie daje ostatecznego pojęcia o ważności tego historycznego materiału, nie mówiąc już o uczuciowej stronie sprawy. Sądzę, że najlepiej byłoby monografię przepleść obficie wyciągami z pamiętników, stworzyć rodzaj wypisów, bo dopiero wtedy rzecz stałaby się naprawdę pożyteczną i pouczającą. Pamiętniki syberyjskie są dopełnieniem niezbędnem historii polskiej XIX wieku. Pamiętniki wojenne, których posiadamy tak wiele, pełne bohaterskich wspomnień, tętentu galopujących w szarżach koni, szczerku szabli, armatnich strzałów, szumu chorągwi, pamiętniki dumne, rycerskie, ozłocone glorią zwycięstw, nie wiem, czy są ważniejsze i ciekawsze, aniżeli wspomnienia częstokroć tych samych bohaterskich mężów, brnących przez śniegowe zasy, wybladłych, wycieńczonych, ale zawsze niosących w sercu słońce nadziei i wiary. Smutne, ponure kopalnie Sybiru mają swoje żalosne księgi. Kiedyś szczęśliwsi wnukowie z niedowierzaniem czytać będą te krwawe dzieje dawno umarłych dziadów i, patrząc w niebo, pogodnie jaśniejące nad rodzinnym krajem, przypomną imiona tych, co z wyżyn zaziemskich błogosławią ukochaną nad wszystko Ojczyznę.

\*) Dr Michał Janik: „Literatura polska syberyjska“.



„GROSZ CZYNSZOWY”. LEWA CZĘŚĆ TRYPTYKU  
Z Salonu T. Z. S. P.

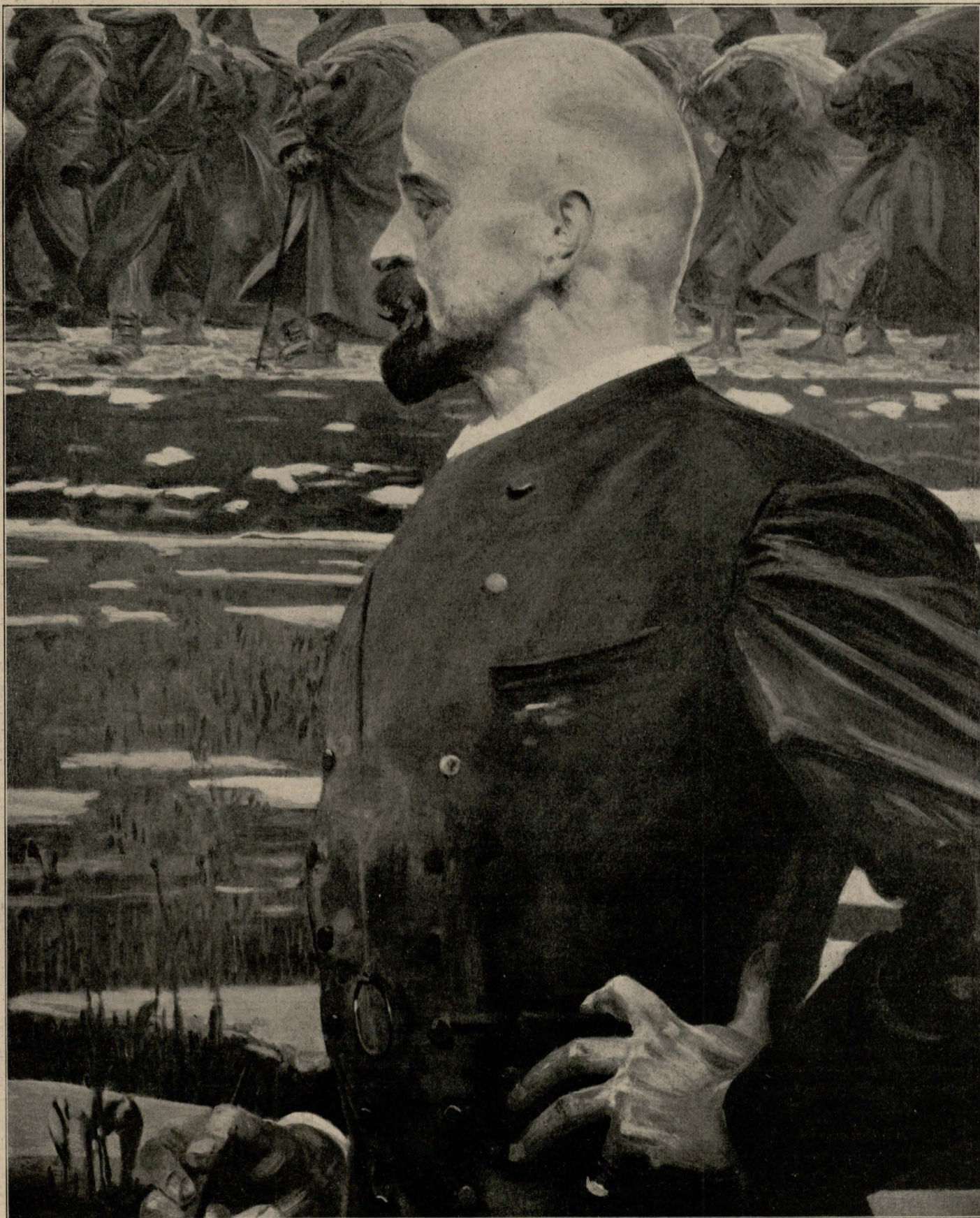
JACEK MALCZEWSKI

LUCYAN RYDEL: Wiosenna pieśń na świętki Dionysejskie. Z ANAKREONTA.

Wejrzyjcie na te chóry,  
Olympu bogi,  
Swych łask im z góry  
Ześlijcie promień błogi;  
Obecni wszak nieraz jesteście  
W samym Aten świętych mieście,  
Gdzie ołtarz kadzidłem wam dymi,  
I rynek nawiedzacie  
W budowli majestacie  
Prześwietny...  
Z wiankami dziś fijołkowymi  
W niekrwawej ofierze weźmiecie  
Dar kwietny:  
Na wiosnę rwane kwiecie!

I na mnie wejrzyjcie, niebiany,  
Bo pieśniarz, a z Zeusa obchodu  
Do tego przychodzę dziś grodu  
Śpiew cudny wznieść  
Bogu na cześć,  
Co chadza w bluszcz opasany;  
U nas mu, śmiertelnych, dano  
Hucznego Bromiosa miano.  
  
I oto przyszedłem opiewać pogłowie,  
Które ogromni ojcowie  
Z niewiast kadmejskich spłodzili...  
Wróżb nie omyli  
W argejskiej Nemei latorośl palmowa.

A gdy rozwierają Hory  
Pełne woni swe komory,  
Zapachem duszące przeczują wnet zioła,  
Że wiosna przychodzi już nowa!  
Wtedy, o wtedy w krasę wiosnianą  
Stroją dokoła  
Fijołków pęki  
Tę nieśmiertelną ziemię kochaną;  
Wienczą się różami czoła,  
Płyną rytmów śpiewne dźwięki  
Z fletniami do wtóru,  
Płyną słodkie pienia chóru  
Semeli na chwałę,  
Zdobiącej skronie w opaski białe!



„GROSZ CZYNSZOWY”. PRAWA CZĘŚĆ TRYPTYKU  
Z Salonu T. Z. S. P.

JACEK MALCZEWSKI

CATULLE MENDÈS: Z ANTOLOGII PRZEKŁADÓW

Przekład BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ.

SOROR DOLOROSA.

Nie, nie zapalaj światła! Niechaj nasze oczy  
Napełnią się na długo ciemnością i mrokiem.  
I pozwól ciężkim falom twych czarnych warkoczy  
Paść na całunki nasze milczącym potokiem.

Umęczeni jesteśmy oboje. Urokiem  
Słońca niebo nas zwiódło. Dzień, co we krwi broczy,  
Zranił i nas. Spowici niemocy obłokiem  
Kołysmy się w wieczoru łagodnej roztoczy.

Ciche rytmy ekstazy w sennych mroków fali  
Przedłużają na bezmiar wieczornej oddali  
Włosy twe, gdzie skroń moja błednie w tej  
godzinie...

O wieczorze! dnia wrogu niemy, niezblagany!  
Jakimż snem letargicznym w serc zbolałych rany  
Fala włosów twych mrocznych godzin cicho płynie...



SŁODYCZ WSPOMNIENIA.

Jestem z tych marynarzy, co śnią, gdy ich skora  
Łódź niesie do dom, jako będą szafir fali  
I loty mew spominać wśród cichego dwora.  
Smutnemu pod całunkiem twym, co skroń mi pali,  
O, jak jasną się zdawa dawnych pieszczot pora!  
Najdroższem to jest, siostrzo, co zginęło w dali...  
Wspomnij, wszak gorzką nie jest nawet żalu zmora,  
Uśmiechają się troski, któreśmy płakali,  
I jasną bywa pamięć ciemnego wieczora.

BOLESŁAW PRUS:

**LUX INTENEBRIS...**

KRONIKA TYGODNIOWA.

Wyobraźmy sobie naród, którego pracownicy mieszkają w brudach, odżywiają się niedostatecznie, często chorują i niedomagają i krócej żyją, aniżeli członkowie sąsiednich społeczeństw. Naogół biorąc, pracują oni ciężiej i więcej godzin na dobę, lecz, ponieważ pracują nieumiejętnie, więc gorzej od innych są wynagradzani.

Nieszczęśliwi ci ludzie nie umieją rysować, czyli—„patrzyć”, dzięki czemu na otoczenie swoje nie zwracają należytej uwagi i nie potrafią dokonywać nawet drobnych odkryć w zakresie życia codziennego. Nie umieją rachować, więc nie zdają sobie sprawy ze swoich dochodów i wydatków i nie potrafią ulepszyć budżetu. Nie umieją czytać, a więc nie tylko pozbawieni są szlachetnych i doskonałych rozrywek umysłowych, ale jeszcze nie wiedzą o cywilizacji, nawet o postępach, dokonywających się w sferze ich pracy fachowej. Nareszcie nie umieją pisać, co zwięża ich pamięć i zakres stosunków z ludźmi.

Ludzie, o których mówimy, są to nieucywilizowani, zacofani—i, w porównaniu z ucywilizowanymi—przedstawiają „mniejszą wartość”... Bo, jeżeli np. tkacz w Anglii i Ameryce zarabia około 750 rubli rocznie, a tkacz polski około 300 rubli, to dwaj pierwsi, przy uwzględnieniu niższej stopy procentowej, są „warcii” około 18,000 rubli każdy, a nieszczęsny Polak zaledwie 6,000 rubli!... Wysokość zaś zarobku, pomijawszy drobne wpływy uboczne i przypadkowe, zależy od większej siły, większej umiejętności w swoim fachu, większej oświaty wogóle, a nawet od większej uczciwości, silniejszego charakteru i rozmaitych zalet towarzyskich, jakie w człowieku wytwarza—wyższa cywilizacja.

„Różnica wartości”, tak uderzająca pomiędzy jednostkami, staje się przerażającą, gdy chodzi o społeczeństwa. Bo tylko pomyślny, że, gdy milion Polaków w wieku produkcyjnym przedstawia wartość sześciu miliardów rubli, to milion Anglików lub Amerykanów wart jest ośmnaście miliardów rubli!... O ileż większe ułatwienia w pracy, większe wygody i bezpieczeństwo mogą kupić sobie np. Anglicy za ową przewyżkę dwunastu miliardów rubli, jaką mają w porównaniu z Polakami?

Z powyższych, tylko napozór fantastycznych rozważań, widzimy, że cywilizacja, czyli: dobre nałogi ekonomiczne, higieniczne i towarzyskie, doskonała znajomość swego fachu i oświata ogólna, to nie zabawki, to nie ozdoby życia, ale—potęgi, które decydują o przewadze jednych ludów nad innymi, a nawet o możliwości ich istnienia. Im ludzkość więcej rozmnoży się, a mnoży się bardzo szybko, tem będzie trudniej o miejsce i żywność, tem gwałtowniej zaostreży się walka o byt, w której zwycięstwo—o tem nikt chyba nie wątpi—dostanie się najzdrowszym i najmocniejszym fizycznie i duchowo... Zdobycie zatem cywilizacji i jej ciągły, nieustanny rozwój, mnożenie jej nabytków nie tylko co generacja, ale co rok, co miesiąc, co dzień, jest dla narodów nie jakimś sposobem zabijania czasu, ale kwestią życia i śmierci.

Człowiek kształtuje się, doskonali, w trzech środowiskach: w rodzinie, w społeczeństwie i w—szkole.. Lecz, gdy rodzina i społeczeństwo dają nam tylko to, co już jest i co było,

są żywiołami konserwatyzmu, szkoła, ale dobra szkoła, dostarcza nowych pojęć, nowych odkryć, nowych umiejętności, czyli—jest źródłem postępu.

Duszą szkoły jest nauczyciel. Dobry nauczyciel przelewa w uczniów nie tylko wiadomości z gramatyki, rachunków, geografii, ale także potrafi rozbudzać w nich drzemające zdolności obserwacyjne i twórcze, samodzielność, odwagę, współczucie dla bliźnich, rozumienie obowiązków względem społeczeństwa, wstręt do złego i cześć dla cnoty. Jako apostoł wiedzy, nauczyciel jest światłem, które pokoleniom wskazuje nowe drogi; jako wychowawca, jest on drzewem mistycznym, którego owoce potęgują siły jednostek i rozwój społeczeństwa. Dobrzy nauczyciele i wychowawcy idą zaraz po wynalazcach i reformatorach, odgrywają rolę niezbędnych pośredników pomiędzy geniuszami a ludzkością.

To też ludy ucywilizowane starają się o posiadanie jak największej liczby jak najlepszych nauczycieli; i bodaj czy nie należy na czele tych usiłowań postawić Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Państwo to, a raczej „nadpaństwo”, posiada z górą pół miliona wychowawców, 220 fakultetów pedagogicznych i kilka instytucji wyższych, stojących na poziomie uniwersytetów, a zajmujących się wyłącznie badaniem kwestii wychowawczych.

„Fakultety pedagogiczne—mówi Omer Buyse—są bardzo ruchliwymi ogniskami badań i poszukiwań; posiadają one laboratoria fizjologiczne i psychologiczne, gdzie profesorowie i uczniowie prowadzą doświadczenia, oparte na najściślejszych podstawach naukowych... Zaś wyższe od tamtych zakłady, jak: Instytut w Chicago albo Kolegium nauczycielskie w New Yorku, obok fakultetów, gdzie najznakomitsi profesorowie przedstawiają najświeższe teorie i wyniki własnych badań, posiadają jeszcze ochrony, szkoły elementarne i średnie, które służą za pole do obserwacji, a jednocześnie są wzorowymi zakładami, gdzie kształcą się przyszli nauczyciele... Najmniejsze kwestye, dotyczące wychowania w ochronach, szkołach elementarnych i średnich, roztrząsają się na kongresach nauczycielskich, nie tylko przez ciała pedagogiczne, ale nawet i skromne nauczycielki”.

Nawiasowo wspomnimy, że w tejsze samej Ameryce nie zawsze panowała dzisiejsza miłość dla wychowania i oświaty i nie wszyscy mieli prawo z nich korzystać. W Stanach Południowych, niewolniczych, przed rokiem 1860, za uczenie Murzynów prawo groziło karą pieniężną, a nawet cielesną!... W Stanach Północnych, gdy pewna pani otworzyła

w Connecticut szkołę dla Murzynów, została skazana na karę pieniężną, a tłum rozbił jej szkołę!... „Dziś jeszcze towarzystwa filantropijne wspominają ze czcią, jak męczenników, nazwiska szlachetnych mężczyzn i kobiet, których wtrącano do więzienia za tę zbrodnię, że nauczali abecadła Murzynów”. Prawdziwe szczęście, iż wypadki podobne trafiały się tak dawno i tak daleko.

Jakże u nas stoją sprawy oświatowe?

Według mecenasa Osuchowskiego, Królestwo Polskie posiada około dwu milionów dzieci, którym trzeba dać naukę elementarną, do czego znowu trzeba mieć dziesiątki tysięcy nauczycieli i ze 40 seminaryów. Jest zaś w rzeczywistości 7 seminaryów rządowych i tylko—jedno—prywatne z wykładami w języku polskim!...

Jedynie to nasze seminaryum nauczycielskie mieści się w Ursynowie, o pięć wiorst od Warszawy, w pięknych budynkach, wśród obszernego parku. Posiada obecnie 91 uczniów i 15 profesorów z wykształceniem uniwersyteckim. W roku przyszłym, po otwarciu czwartego kursu, liczba uczniów wzrośnie do 130, lecz cyfrę nauczycieli trzeba będzie mocno zredukować, ponieważ... niema dostatecznych środków!... W roku bieżącym na przykład koszty utrzymania wyniosą przeszło 37,000 rubli, a niedobór około 24,000. Jak zaś ogólnie robią się wydatki, oto jeden z dowodów: całkowite utrzymanie ucznia w internacie kosztuje przez miesiąc 13 rb. 82 kop., a zaś konia... 30 rb. i 46 kop.!... Nie znaczy to, że uczniowie bywają głodni, tylko—że niema zbytków, o nie...

Inicyatywę do założenia seminaryum w Ursynowie dał mecenas Osuchowski; on też, swoim zwyczajem, zgromadził założycieli, ukwestował fundusze, napisał ustawę i t. d. Z hojnymi ofiarami na ten cel szlachetny pośpieszyli: hr. Adam Krasieński (który seminaryum darował majątek Ursynów), hr. Zamoyski ordynat, baron Kronenberg Leopold, Czarniecki, Drzewiecki, Sienkiewicz, dr. Hassewicz, Klarner. Nadstali też kilkanaście tysięcy rb. Polacy z Charbina, na uczczenie manifestu z 30 października. Nadto hr. Feliks Sobański utworzył dla niezamożnych uczniów 10 stypendyów po 150 rubli, Ordynacya Zamoyskich 6 stypendyów, Towarzystwo tramwajów elektrycznych 5 stypendyów i po jednym: ś. p. Adam Krasieński, tudzież panie i panowie: Cecylia hr. Plater, T. hr. Potocki, I. Szebeko, H. Czarnowski, A. Wettler i Rada pedagogiczna seminaryum.

Jest też piękny zapis ś. p. Julii Wiemanowej w kwocie 50,000 rubli na kapitał żelazny. Wszystko to jednak jeszcze nie wystarcza, i seminaryum będzie musiało w dalszym ciągu odwoływać się do ofiarności publicznej.

W tem miejscu nastęrcza się uwaga. Dotychczas seminaryum w Ursynowie utrzymuje się dzięki darom kilkunastu ludzi przeważnie bardzo zamożnych, „arystokratów”. O średnich właścicielach ziemskich, o inteligencji, rzemieślnikach, kupcach, gminach wiejskich do tej pory nie słychać. A przecież seminarya nauczycielskie to sprawa, obchodząca cały ogół, i nawet bez porównania więcej „chłopów”, aniżeli „wielkich panów”. Trzeba więc mieć nadzieję, że społeczeństwo nasze opuści dotychczasową rezerwę i zechce przyczynić się nie tylko do utrzymania szkoły ursynowskiej, ale i do stworzenia jeszcze choć kilku nowych, a tak niezbędnych instytucji pedagogicznych.





WYSTAWA PRACOWNI W T. Z. S. P.

PRACOWNIA JÓZEFA RYSZKIEWICZA

## PRZEGLĄD PRACOWNI.

Przed laty dziewiętnastu w Salonie Krywulta, wówczas mieszczącym się w hotelu Europejskim, czterech malarzy warszawskich urządziło specjalną wystawę, pod godłem „Przeгляdu pracowni”. Wystawa ta cieszyła się niezwykłym powodzeniem, a w rocznikach sztuki naszej zapisała się debiutami Olgi Boznańskiej, Józefa Rapackiego, Ludwika de Laveaux, — oraz po raz pierwszy publicznie zaprodukowanym cyklem „Rybaków” i „Kopania buraków” Wyczółkowskiego. Wprawdzie wystawę ową organizowało tylko czterech artystów, wzięła w niej udział duża liczba kolegów, zaproszonych przez inicjatorów.

Jeden z pierwotnych twórców „Przeгляdu pracowni” z 1890 r., Józef Ryszkiewicz, postanowił tradycję jej wskrzesić i, zaprosivszy do współudziału Konstantego Gorskiego, A. Augustynowicza, Tadeusza Noskowskiego i Antoniego Piotrowskiego, zamienił boczne sale Towarzystwa Zachęty na artystycznie udekorowane wnętrza, które mają szerszą publiczność wprowadzić w środowisko twórczości malarskiej.

Cel ten dopięty został w tej części nowo otwartej wystawy, gdzie rozstawił swe sztalugi Ryszkiewicz; następne jej części albo w małym stopniu posiadają dekorację pracownianą, lub są jej w zupełności pozbawione. A szkoda! Przy nieco większym nakładzie pracy można było całość zamienić na rzeczywisty przybytek pracy malarskiej.

Nowo zorganizowana grupa pięciu, zdaje się, niczem nie jest związana, chyba tylko przypadkiem; ideowo rzecz biorąc, nie ma ona tej wewnętrznej spójności, co podobna grupa pięciu młodych krakowskich malarzy.

Jeden z najlepszych, a bodaj czy nie najlepszy współczesny polski akwarelista, Augustynowicz, bierze w wystawie udział, lecz bardzo platonicznie, nie wytworzył bowiem dla swej produkcji żadnego tła pracownianego i dał tylko dwa utwory: „Typ włościanki” i „Modelkę”. Akwarele te, choć z wielką ciężką namalowane, ustąpić muszą przed doskonałym portretem damy w czerni, zawieszonym na zwykłej wystawie.

Tak rzadko produkujący się publicznie Konstanty Gorski przypomniał się szerszemu ogóło-

wi doskonałymi cyklami ilustrowanymi, które zresztą znamy z reprodukcji, i obrazem olejnym z ballady „Romantyczność”. Dał przytem kilka szarż rysunkowych, wprost znakomitych w wyrazie artystycznym, i bardzo subtelnie odczute studia morskie.

Tadeusz Noskowski coraz wyraźniej zaznacza w sztuce swą indywidualność. Odnajdujemy go tym razem, i jako dekoratora o wielce pomysłowej koncepcji twórczej, i jako malarza krajobrazów niezwyklej miary. Niewielkie te płócienniki są zawsze dziełami sztuki.

Z szerzej pojętą ideą odtworzenia atmosfery pracownianej i plastycznego przeprowadzenia twórczego procesu wystąpił Antoni Piotrowski, zasłużony szermierz na niwie sztuki naszej. Zgromadził tu i obrazy skończone, i studia do nich, i szkice i notatki. Szereg fotografii z dawniejszych prac jego zapoznaje nas z działalnością artysty,



GRUPA ARTYSTÓW Z OBECNEJ WYSTAWY.  
T. Noskowski, J. Ryszkiewicz, K. Gorski, A. Piotrowski,  
A. Augustynowicz.

który miał w swej karierze i uśmiechy losu, i uśmiechy prawdziwego natchnienia. Nieznana nam dotychczas kompozytka, zaczerpnięta z epoki pierwotnego rozwoju ludzkości, ma w sobie właściwy nastrój pejzażu i wyraz dość oryginalny dziecięcej naiwności wraz z cechami barbarzyństwa ludzkich postaci. Mniej udatnie wyszły studia kobiet, w rozmaitych fazach toalety. Powszedniość typów i akcji nadają tego rodzaju utworom Piotrowskiego cechy trywialności.

Najbardziej odpowiedział nakreślonymu z góry zadaniu Józef Ryszkiewicz. Jego kątek pociąga umiejętnym urządzeniem, gra różnorodnością barw, interesuje zgromadzonymi szczegółami. Na tle dywanów, makat, zbroi, draperii, porzucanych jakby od niechcenia, rozmieścił artysta kilka obrazów skończonych, przy wielkiej ilości pomniejszych studyów i szkiców kompozycyjnych. Krajobraz nocny, zimowy, z konną figurą „sztafety”, wskrzesza nam w pamięci najżywotniejszą epokę działalności Ryszkiewicza. Scena jarmarczna z zaprzęgiem pędzących koni, z babą, która zleciała z sani, i masą typów jest obrazem z naciskiem tak dalece charakterystycznym, że wpada aż w karykaturalność. Oprócz tych utworów Ryszkiewiczowskiej wystawy, znajduje się na niej kilka dobrych studyów pejzażowych i końskich, oraz dwa kobiece portrety, mniej udatne.

Oprócz tej wystawy otwarta została wystawa obrazów Karola Bisego. Kolekcję jego stanowi z górą sześćdziesiąt utworów, wśród których są i obrazy, są też i studia. Przedewszystkiem trzeba skłonić głowę przed zapasem sił żywotnych malarza, który po kilkunastu latach samodzielnej pracy zrobił niezwykle wysiłek wewnętrzny, czem nie tylko że rozszerzył skalę talentu swego, lecz indywidualność twórczą zmienił najzupełniej. Wysiłkiem tym było zwrócenie się do pracy podstawowej, do studyów; głębiej pojęte, wpłynęły one niezwykle na rozwój artysty. W pojęciu znać tu jeszcze obce wpływy, lecz znać również i ożywczy wpływ natury. Najlepszą stroną wystawy są bezpośrednie studia, brane dorywczo z rzeczywistości, a jest ich dużo — najłabszą są wypracowane obrazy, a szczególnie te, w których artysta starał się o wywołanie pewnego nastroju specjalnego. W każdym razie wielki krok naprzód.

H. PIĄTKOWSKI.

## WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

„Thaïs”, opera Masseneta.—Romans filozoficzno-archeologiczny Anatola France’a i dobyte zeń przez L. Galleta płytkie libretto. — Jaki tekst, taka muzyka. — Massenetyzm. — Powodzenie „Thaïs” w Warszawie.—Ciąg dalszy koncertów symfonicznych Fitelberga i stopniowe ich doskonalenie się.

U bollandystów, w pięćdziesięciu tomach ich „Acta sanctorum”, znajdziemy niejedyn opis iście cudownego „nawrócenia się”, za sprawą bogobojnych mężów, istot, zdawałoby się, bezpowrotnie dla Życia Wiecznego straconych.

Tam też bodaj zarejestrowany jest powrót na drogę cnoty niejakiej Thaïs, kurtyzany egipskiej, uderzonej, jak blaskiem niezemskim, uwagą ascety-pustelnika, że niemasz komnaty tak szczelnie zamkniętej, w którąby nie przenikał wzrok Pana nad Pany...

Zdaje się jednak, iż nie tę właśnie Thaïs miał na myśli Anatol France, pisząc znaną opowieść swoją, jeno Thaïs, heterę grecką z czwartego stulecia przed erą chrześcijańską, Thaïs, nałożnicę Aleksandra Macedońskiego, za sprawą której obrócony został w perzynę gród kwitnący: Persepolis.

Nie ma zresztą ów szczegół najmniejszego znaczenia dla... opery Masseneta, której libretto ma niezmiernie luźny związek z archeologiczno-filozoficznym romansem głośnego pisarza. Ma ów szczegół zaznaczyć tylko: wielką prostotę osnowy massenetowskiej „Thaïs”. Osnowę tę bowiem stanowi pospolite—jeśli wolno tak się wyrazić—„nawrócenie” przez mnicha-zenobitę hetery, opływającej w rozkosze wyuzdane i nieprzeliczone bogactwa.

Z głębi pustynnej Tebaidy, gdzie garść eremitów rozbiła odludne siedziby swoje, wychodzi na połów duszy tej ludzkiej zbłąkanej młody mnich Athanael i nie waha się dotrzeć aż do samego pałacu precudownej oblubienicy Niciasa, trzęsącej hulaszczą i wyrafinowaną, opływającą w zbytku i potędze Aleksandryą.

— Wróć ją Bogu—powiada—wydrę ją plugawym rozkoszom miłosnym i oblubienicę z niej uczynię Chrystusa. Porzuci wszystko i—pójdź do klasztoru!

Tak się też i staje. Nawrócona Thaïs pali nawet za sobą pałac swój wspianały i, pomimo oporu ludności Aleksandryjskiej, nie chcącej Phryny swej utracić, uchodzi z Athanaelem na pustynię, aby pokutą najsurowszą i najostrejszym ascetyzmem zgładzić winy dotychczasowego żywota. Athanael powierza ją pieczy bogobojnej przełożonej niewiast-eremitek, Albinie, z krwi cesarów rzymskich, a sam powraca—do tebaidskich współ-pustelników swoich. Lecz—ach! obrazu przepięknej hetery wygnać z pamięci nie może. Śpiewał wprawdzie w pierwszej odsonie aktu drugiego: „Kocham cię, Thaïs, lecz nie wedle rozumienia twego. *Je t'aime en esprit, je t'aime en vérité!*” Ale miłość ta, „w duchu i w prawdzie”, niedługo trwała. Athanael kocha Thaïs—wedle najpospolitszego rozumienia rzeczy.

Tragedya; pokusy; biczowanie się. Żadna rada nie służy. Athanael, jak opętany (niby tą namiętnością swoją), pędzi do schroniska Thaïs i zastaje ją umierającą. Umartwienia i srogie pokuty ją zabiły. Kocha—ż ona Athanaela? Nie. Dusza jej innego, nie z tej ziemi, ma Oblubienca. I podczas gdy Athanael odchodzi od zmysłów z żalości niezmiernej i niczem już nie hamowanego afektu, Thaïs w niebiańskiej ekstazie Bogu oddaje ducha. Spierać się z nikim nie będę, że temat to—nie do zbytku operowy. Lecz stało się. Masseneta operę napisał i od lat oto piętnastu wystawiają ją wszędzie, gdzie sił i środków starczy po temu.

Trudno jednak—dla charakterystyki dzieła—

nie spytać: co tak nawracająco podziało na Thaïs? Czyliż wymowa Athanaela? Czyliż argumenty? Czyliż wreszcie cud stał się na ziemi?

Owóż i stoimy na najpiękniejszym punkcie całej tej płytkiej tragedii. Autor libretta, Gallet, pokazał nam Thaïs, bojącą się utraty wdzięku, starości i śmierci. Tylko taką. I oto Athanael obiecuje jej—życie wieczne! Ta kusząca obietnica decyduje o wszystkim.

Thaïs umiera, wpatrzona „w świąty wiecznego dnia”...

Takie libretto, pisane—najślusniej—prozą, gdyż w epoce nowoczesnej rytm poetycki nie koresponduje wcale z rytmem muzycznym (nawet w słynnej inwokacji z „Fausta”: *Salut demeure chaste et pure!*)—nadawało się, jak ulał, dla... Masseneta, sześćdziesięcioletniego dziś twórcy „Króla Lahory”, „Manon”, „Esclarmondy”, „Herodyady”, „Werthera”, oratoryów, symfonii, pieśni etc. etc.

Niegłęboki, błyskotliwy, a bajecznie zręczny ten Francuz pełnej krwi, naśladowca kolejnych Berlioz, Meyerbeera, Gounoda, Wagnera, młodych Włochów, a pomimo to twórca „massenetyzmu”, poczytywanego za najistotniejszy wyraz charakterystyczny muzyki francuskiej, poczuł się, jak w przyrodzonym żywiole, w lekkiej atmosferze—libretta p. Ludwika Gallet.

No, i dano mu w ręce jeszcze jedną kurtyzanę wysokiej marki! No i znowu miała zwyciężać Miłość—efekt w operze niezawodny. Miał czas wyspecjalizować się w układaniu „dyszącego miłością” frazesu muzycznego; po tej właśnie melodii pieszczącej, upajającej, wkradającej się w najhartowniejsze zmysły—poznać przecie Masseneta wśród tłumu kompozytorów. Gdy zaś inwencyja twórcza dopisać nie chce, puszcza się w grę... nie chybającą nigdy wionoczelę. To takie proste, a tak zawsze skuteczne.

Tedy zmassenetyzowana na wylot „Thaïs” Anatola France’a to od brzegu do brzegu jedna wielka, na siedm odson rozbita przędza koronko-

wa, arcymisterna, rozestana po pustce prawie absolutnej: wszelkiej melodyjności, wszelkiej *idei muzycznej*. To jakby tylko bezustanna muzyczna deklamacja tekstu Galleta. Niezliczone tylko fiortury orkiestrowe—bardzo interesujące dla specjalistów—oraz nieustanne przeguby głosowe dają wyraz muzyczny pojedynczym słowom lub dyalogom i akompaniują akcyi, dziejącej się na scenie. Pośpieszmy dodać: bez potęgi Ryszarda Wagnera i bez szalonej ekspresji Ryszarda Straussa.

W dodatku opera „Thaïs” ma założenie i zakrój wielkiej—*féerie*. Zdawała sobie doskonale z tego sprawę Masseneta; zdawała sobie z tego sprawę Opera paryska, przyjmując do wystawienia „Thaïs” w r. 1894. *Féerie*, wystawiona z całym odnośnym aparatem: orgii Aleksandryjskiej, widzeń na pustyni, kontrastów dwóch światów etc. etc., a z muzyką Masseneta—czegoż więcej potrzeba dla najszerszej publiczności? Powodzenie zapewnione.

Lecz i trudności do przezwyciężenia nielada. Głosy śpiewacze giętkie, wprawne i dźwięczne winne *dobywać* z subtelnym artyzmem wszystko to, co, potraktowane nieudolnie, zleje się w jedną, szarą, nudną psalmodyę, masę, ordynarną mortadellę. Dla orkiestry też nie wystarczy sumienne... wybijanie taktu. „Thaïs” Masseneta toć przecie nie walc: „*An der schönen blauen Donau*”... A dopieroż—reżyserya! Ileż trzeba zużyć pomysłowości, erudycji i smaku, aby np. zbiorowe sceny w odsonie drugiej i czwartej nie wypadły w stylu... prowincjonalnych „Zbójców” Schillera lub pačanowskiej „Monny Vanny”! Nie dość mieć pod ręką „maszynery” i „efekty świetlne”, trzeba umieć ich używać i kombinacje z nich układać—bynajmniej nie szablonowe. Ach! — i dekoracje — i kostiumy... W świeżutkich satynkowych sukienkach „spacerowych” nie pójdą przecie czerpać wody ze studni pod palmami Afrykanki, osiadłe na skraju pustyni w IV wieku ery chrześcijańskiej?

Tak, tak... Pracowita to i trudna sprawa *właśnie* z taką „Thaïs”, która ani się *sama* nie śpiewa, ani *sama* gra, ani *sama* nie budzi wra-



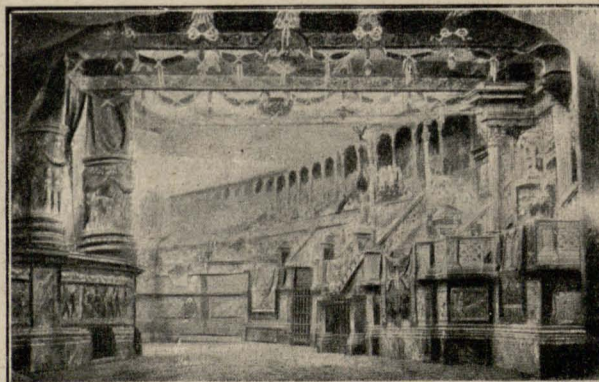
Eunice (Liliana Grenville).



Poppea (M. Degeorgis).



Lygia (Charlotte Wyns).



Opera „Quo vadis” na scenie w N. ei. Dekoracja cyrku. Obraz II aktu 4.

W Nicei wystawiona została opera „Quo Vadis”, osnuta na tle powieści Sienkiewicza. Muzykę skomponował Jan Nougues, libretto napisał Henryk Cain, przy udziale znanego tłumacza dzieł Sienkiewicza, p. Kozakiewicza. Opera liczy cztery akty; obok podajemy dekorację jednego z nich. Wśród wykwiłtnej publiczności Rivieri dzieło Nougues’a cieszy się dużym powodzeniem.



żeń i nastrojów. Trzeba ją całą—robić, pomimo iż zdawałoby się, że wszystko podane w partyturze, partytjach i librecie. Trzeba ją nadto upowić w oszalałymi... akcesorya, aby znaczną pustkę wewnątrz dzieła Masseneta—przykryły.

Niestety jednak, Opera warszawska nie jest—jeszcze Operą paryską... Przedwczesnym przeto i zbyt ciężkim był dla niej eksperyment wystawienia „Thais”.

Otwarcie mówiąc, na wysokości zadania stanęła jedynie p. Carmen Melis, doskonała śpiewaczka, a zaś partner jej bezpośredni, p. Edward Fati-Canti, dał nam słyszeć i oglądać Atanaela poprawnego. Nadto p. Carmen-Melis w roli Thais olśniewa efektowną i okazałą pięknnością niewieścią. Wrodzona jej grze i akcentom lekka ordynarność uchodzi w tym wypadku, t. j. heterze aleksandryjskiej, jak do pewnego stopnia uchodziła gejszy japońskiej („Madame Butterfly”).

Całość zaś długiego widowiska — efektowna; przecięta „stynną” *méditation* skrzypcową na tle orkiestry, czyli rodzajem *intermezzo à la Mascagni*; słuchana w nabożnym skupieniu.

Tedy—„Thais” zdobyła sobie tu u nas wstępnym bojem: niepowszednie powodzenie.

*Quod demonstrandum erat.*

Jeżeliby mnie jednak spytano: jaki dotąd mieliśmy w bieżącym sezonie *najpiękniejszy* wieczór muzyczny?—odpowiedziałbym bez wahania: ósmy z rzędu symfoniczny koncert Fitelberga w Filharmonii, podczas którego wykonano na tle majestatycznie świetnego programu „Siódma Symfonia” Beethovena (orkiestra), oraz Beethovena. Koncert fortepianowy G-dur (orkiestra i Artur Rubinstein) z *doskonałością*, bodaj że nie dającą posunąć się dalej.

Podczas innego znowuż wieczoru symfonicznego pod batutą Fitelberga, najznakomitszego dziś polskiego dyrygenta, zapoznano nas z „Rapsodyą Litewską” niedżałowanego Mieczysława Karłowicza, opartą na motywach ludowych, świeżą i prześlicznie skomponowaną, wykazującą całą maestryę orkiestralną zamkniętego na zawsze muzyka naszego.

Owóż z pełnem uznaniem i szczerą wdzięcznością stwierdzmy raz jeszcze, że wysoce cenna impreza muzyczna p. Fitelberga nie tylko stała się ewenementem w artystycznym życiu Warszawy, lecz, że sama doskonali się wciąż i wysubtelnia, zaszczepiając tu, na naszym dziś surowym gruncie: szlachetny kult piękna, nieodłączny od duchowej kultury.

CZESŁAW JANKOWSKI.

## ŻYCIE NOCNE.

Hygiena żąda od nas radykalnej reformy życia. Wczesne wstawanie i wczesne udawanie się na spoczynek, unormowanie dnia według słońca, poświęcenie nocy na sen—oto jej postulaty naczelne.

Warszawa, jakby w odpowiedzi na to, ucześnie gorliwie do coraz liczniejszych *cabaretów* i lekkomyślnie drwi z nawoływań, kierowanych w jej stronę. O godzinie 1-ej lub 2-giej w nocy niejedyn zastanawia się zupełnie szczerze nad tem, co zrobić z resztą wieczoru?

Zostawmy jednak na stronie tych, którzy się bawią. Jest to kategoria ludzi, którzy zawsze i wszędzie, w każdym wielkiem mieście, szukają i będą szukali rozrywek, mniej lub więcej „zakazanych” przez higienę. Tak samo dzieje się w Paryżu, Berlinie i Wiedniu, co jednak nie przeszkadza spać o tej porze ludziom pracy i obowiązku.

U nas tymczasem i ta druga kategoria mieszkańców miasta grzeszy ciężko przeciw higienie.

Zapytajmy np. ludzi, pracujących umysłowo. Okazuje się, że prawie żaden z nich *nie potrafi* pracować w godzinach rannych, że wszyscy czytają i piszą po nocach, późno kładą się spać i późno wstają. Jednych zmuszają do tego obowiązki zawodowe, które kończą się dopiero późnym wieczorem, pozostawiając im zaledwie część nocy na pracę *dla siebie*, innych brak ciszy i spokoju w domu, a jeszcze innych proste przyzwyczajenie, prosty nałóg, wyniesiony jeszcze z czasów szkolnych.

I walka z tym nałogiem jest bodaj trudniejsza od walki z życiem nocnym w lokalach publicz-

nych, gdy bowiem z *cabaretami* można poradzić sobie łatwo, zmuszając je do wcześniejszego wyczerpywania swoich „bogaty” programów i zamknięcia gościnnych sal o północy, to niepodobna wtargnąć do mieszkania prywatnego i zmusić prawnika, lekarza, literata lub uczonego do tego, aby punkt z uderzeniem godziny 11 szedł do łóżka.

A jednak dr Polak ma zupełną słuszość, wołając głośno w imieniu higieny o reformę naszego sposobu życia, wesłiśmy już bowiem na drogę powszechnego zdenerwowania, histeryi, znużenia i całego szeregu innych chorób, których źródło tkwi między innymi w nocnym życiu Warszawy. Jak się to stało? Jak doszło do tego?

Ludzie starsi twierdzą, że dawniej było inaczej. Oczywiście, dawniej Warszawa była miastem mniejszem. Nie tylko to jednak. Dawniej nie podlegała ona w tym stopniu wpływom obcym, w jakim podlega obecnie.

Życie nasze—mówił mi niedawno pewien obserwator społeczeństwa—w ostatnich czasach zaczyna się dziwnie spokrewniać z życiem petersburskiem. Stamtąd też niewątpliwie przyszedł do nas nałóg nocnego życia. Przecież na całym Zachodzie noc jest nocą, a dzień dniem, inaczej jest tylko w jednym Petersburgu, gdzie przed godziną 11-tą rano nie można zastać w biurach ministerjalnych żadnego jeszcze, choćby nieco tylko znacniejszego urzędnika, gdzie na 10-tą rano zaledwie schodzą się podrzędni kanceliści, o 9-tej na ulicach niema jeszcze nikogo, oprócz t. zw. „czarnej publiczności”, a o 8-ej całe miasto, nie wyłączając dzielnic handlowych, pogrążone jest w ciszy i śnie. Podobnie zaczyna być w Warszawie. Wstajemy coraz później i coraz później rozpoczynamy pracę, a przecież pomiędzy nami a Petersburgiem jest kapitalna różnica—to bowiem, co tam znajduje usprawiedliwienie w specjalnych warunkach klimatu, u nas nie może być brane w rachubę. Mamy tu więc do czynienia z wpływem, który przesącza się do nas nie tylko bez żadnej uzasadnionej potrzeby, ale nawet wbrew naturze i to—bodaj przedewszystkiem—trzeba mieć na uwadze.

## Na temat wiosny.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Gdybym miał malować wiosenkę w rozbrzusku, tobym jeno ciebie, Maryś, zrobił na obrazku. Cobym pędzel umaczał w pozłocistej farbie, tobym wprzódy spojrzął na cię, mój ty ptaku! skarbie!

Zamiast tych bławatów, gdzie się słonko toczy, namalowałbym, dziewczucho, twoje modre oczy! zamiast rannej zorzy od wschodowej strony, zrobiłbym ja twój warkoczyk, warkoczyk złożony!

A od tej koseńki, co odola sięga, płynęłaby zapleciona, trzy-barwista wstęga. Tam, gdzie ode słonka jasny promyk skrzy się, widniałyby: sznur paciorków, albo koralisje!

A gdzie samo słonko, gdy najbardziej grzeje, twą gębusiębym wyzłocił, kiej się do mnie śmieje!

A gdybym już całą wyrobił wiosenkę, tobym taką, jako twoja, nawdziął jej sukienkę. Niechby, jak ty, miała kryzkę ząbkowaną, i gorsecik w pasie wcięty, i chustkę wełnianą! spódniczkę fałdzistą, gdzie niwy a półka, a gdzie wody na jeziorze, tam lniana koszulka, fartuszek biały z tiulików, talbanek...

Sierp przez ramię, kiej miesiączek, a na głowie wianek.

Niechby tak szła sobie poprzez miedze boso, drobne stopki ukazując, myła srebrną rosą! A jakbym wystrzył tę moją wiosenkę, tobym usiadł z fujareczką i grał jej piosenkę!

Taką śpiewał śpiewkę, co się śmieje łzami, takusieńką, jak ty, Maryś! gdy jesteśwa sami!

Tak się to śpiewa, ale



Marcowy śnieg.

do tej wiosenki jeszcze nie tak blisko. Jeszcze i śniegi po polach leżą, i drzewina o pąkach nie śni, i wiatr chłodny zawiewa, ale już coś się w sercu i przyrodzie o wiosnie roi.

Zawszeć bliżej, niż dalej, do wiosenki-kochania, do... boćków. Toć i święty Józef za pasem!

Byle tylko na dobre puściło... jakoś to będzie.

Więc, choć jeszcze ziemia zimowych powija-ków nie rzucała, skoro się o wiosnie zaczęło, nućmy już na wiosnianą nutę.

Niema jeszcze rozchodnika, ani macierzanki, ani pachnącego łącznego ziele, ale są przecie żywe kwiaty wsi polskiej! Są Maryśki! Jagusie! Zochy! Hej, czy znajdzie bardziej wiosniany temat?

Więc, „choć o śledziu, chociaż w poście, idę do Was, Zochy, w goście”, ze śpiewaniem wiosnianem... Witajże mi Wiosenko, Maryś z pod Mieczowa. Witaj! Zadumałaś się niebogo, ku krakowskiej stronie poglądasz, modre ślepki wypatrujesz...

Poczekaj! Przyjdzie, przyleci, kowanym pasikiem od Koniuszy, od Proszowskich niw zadzwoni... Poczekaj! nie sumuj! przyjdzie!

A i ciebie nie ominie, kujawska Zocho... Niechno tylko Post Wielki zleci... Niech się ku Kaliszowi pąki na wierzbinach rozwiną... Wykręci fujareczkę i będzie ci grał... Oj! grał! aż hen ku Łowiczowi rozlegnie i z drugim graniem a śpiewką się połączy, co wej! dla księżackiej, mazurskiej córy znaczone. Hej! pójdziez granie! byle jeno wiosny a boćków doczekać. Pójdzie, jak ta ziemia długa a szeroka, od lubelskich półanków po podlaskie borki, od wzgórków skalbierskich po kurpiowskie sadyby... Jeno jeszcze chwilka, i już... Spłyną śniegi do morza... Czego słonko złociste nie roztopi, tego Wasze oczy dokażą, dziewczucho moje! Kwiaty podstrzeszne!

Jeno patrzajta, tak jak na obrazku. Prosto w serce, aż hen! aż tam, gdzie się w duszy chłopskiej coś do wiosenki i do was śmieje...

A puści zima... puści.

KAZ. LASKOWSKI.



Figura przydrożna.

## ZUZANNA RABSKA.

ZANIM ŚWIATŁA POGASNĄ...

Pierwsza książka młodego autora to klucz, który otwiera duszę, czasami odrazu, naościęż, czasami tylko dyskretnie, zależnie od temperamentu, od siły, od stopnia szczerości, na jaki się zdobywa talent.

Klucz, który bierzemy z rąk p. Rabskiej, jest misterny, kuty starannie, cyzelowany. Znać, że z dobrego wyszedł warsztat, że chciał być „dziełem sztuki”. Otwiera delikatnie, bez zgrzytu, ale



Zuzanna Rabska.

otwiera tylko przez pół... Nie poznajemy wszystkiego, nie widzimy głębszych pokładów „ja” autorki, zawoalowanego jeszcze, kryjącego się, rozmyślnie czy przypadkowo, za abażurem, tłumiącym światło słonecznych promieni jej młodej duszy. Widzimy tylko, że znużona, zniechęcona i smutna jest ta dusza nawskroś smutkiem dnia współczesnego, który nie zna pogody.

Jest słusznym, aby żądać od młodości silnych, zdrowych uczuć, wiary, nadziei, uśmiechów, rąk, wyciągniętych do życia, i złotego przedziwa tych pięknych marzeń, które jawią się na drodze ludzkiej tylko raz jeden, i to na krótko, zanim wiatr je rozwieje, a brutalna prawda nazwie po imieniu *złudzeniami*. Młodość bez złudzeń, bez marzeń, bez polotu ku jarzącym się daleko gwiazdom ideałów nie jest młodością. Przypomina kwiat chory, o sztucznie rozwiniętym, zatrutym kielichu, choćby nawet ten kielich był piękny i pociągający filigranowem, misternem wygięciem swoich płatków, obrzuconych plamami rdzy, zwiastującej w nim obecność toczącego czerwia.

Książka p. Rabskiej, jako wykładnik jej duszy, te właśnie posiada znamiona. Niewiele w niej tonów, któreby świadczyły o młodości i o tem, że autorka w coś wierzy głębiej, coś kocha mocniej, ku czemuś dąży.

Już po pierwszej noweli, „Zanim światła pogasną”, od której tytuł wzięła cała książka, zostaje wrażenie, że złudzeń i marzeń niema tu żadnych, że przyszło wczesne a gorzkie rozczarowanie, które zdarło z życia wszystkie obszyny, wyłuskało je ze wszystkich ideałów i ukazało młodym oczom krwawą ranę istnienia ludzkiego, w którym namiętności, żądza, egoizm cyniczny i loschochlik przytłaczają wszystko, co dobre, czyste, szlachetne, proste i piękne. Utwory następne, z małymi wyjątkami, utrwa-

lają to pierwsze wrażenie. Czy jednak tak jest istotnie? Czy wszystko już dla p. Rabskiej przeszło, minęło, umarło? Czy młoda autorka nowel jest w tem, co pisze, sobą, i wyłącznie tylko sobą, czy też, jak w literaturze, odbiły się w niej wpływy tych, których zna dobrze, a którzy ją wabią i pociągają do tego stopnia, że nie mogła się powstrzymać, aby nie powiedzieć czytelnikowi: byłam wszędzie i wszędzie rwałam swoje czarne kwiaty: i na grzędach Nietzschego, i Ibsena, i w czarownych ogrodach Leopardiego, Musset'a, Rodenbacha i tylu innych. Świadczą o tem cytaty, rozrzucone na kartach książki zbyt obficie, raczej w charakterze legitymacji artystycznych, niż dla koniecznej potrzeby.

Potrzeby tej zresztą niema wcale, autorka bowiem posiada dość własnych środków do wypowiedzenia tego, co chce wypowiedzieć.

Konstruuje zgrabnie, obserwuje śmiało, rysuje poprawnie. Język jej bogaty jest i giętki, styl potoczny i subtelny, umiemy równie dobrze odtwarzać momenty o silniejszym napięciu dramatycznym, jak nastroje liryczne i wrażenia przelotne. W ostatnich, których na końcu książki jest garść spora, ujawnia nadto p. Rabska zdolność do poetycznego patrzenia na świat i umiejętność chwywania głębszych nastrojów.

Podkreślając te niezaprzeczone zalety jej pióra, które mówią zarazem o dużej kulturze literackiej, możemy wróżyć p. Rabskiej pewną i prostą drogę rozwoju przy nieustannem pogłębianiu samej siebie, przy większej trosce o wydobywanie z siebie całej wewnętrznej prawdy swojej, nie drogą wycieczek w dziedzinę przeczulonej erotyki, ale przez jakąś bogatszą emanację twórczą, odświeżającą rdzeń jej duszy smutnej, zmęczonej i rozczarowanej, ale niewątpliwie przeczuwającej, iż są rzeczy inne, większe, donioślejsze i godne kochania poza obrębem tego, co niesie na swej powierzchni mętny potok życia współczesnego, zwłaszcza w tem prerafinowanym środowisku, które autorka odtwarza.

Z. D.

## WYPRAWA POLSKA

### DO AZYI ŚRODKOWEJ.

My, Polacy, podróżujemy wogóle mało, wypraw naukowych nie przedsięwzięliśmy prawie wcale; jeżeli Polak odnaczy się w podróżach, jak np. Henryk Arctowski, to w wyprawach obcych, za obce pieniądze urządzanych.

Dlatego każde usiłowanie w tym kierunku jest ciekawe i ważne. Dlatego na obszerniejszą wzmiankę zasługuje zamierzona wyprawa rodaka naszego, p. Aleksandra Chojnackiego, do Azji środkowej, Tybetu i południowych kresów państwa Chińskiego.

Przewodnią myślą inicjatora wyprawy, podróżnika z temperamentu i zamiłowania, jest zbadać wymienionych krajów pod wszystkimi względami. A więc zadaniem uczestników będzie: 1) geograficzne oznaczanie miejscowości, przygotowy-

wanie szkiców geograficznej mapy przebywanej drogi; 2) dokonywanie spostrzeżeń meteorologicznych: peryodycznych zmian powietrza, temperatury, wilgoci, kierunku i siły wiatrów, mierzenie absolutnej wysokości; 3) gromadzenie zbiorów zoologicznych, ornitologicznych, botanicznych i mineralogicznych, oraz dotyczących ich notatek; 4) prowadzenie ścisłego, skrupulatnie notowanego pamiętnika wyprawy; 5) zdejmowanie fotografii przebywanych miejscowości, fotografii tak licznych, aby dały zupełny i dokładny obraz ilustracyjny wyprawy.

Wszystkie zdobycze naukowe będą oddane po powrocie do rozporządzenia instytucji naukowych.

Marszruta ułożona jest następująca. Wyjazd z Odessy w maju r. b.:

Sevastopol, Jalta, Batum, Tyflis, Baku, Aschabad, Buchara, Samarkanda, Taszkient, Margielan, Koszgar, Sędelim, Tokus-Kum, Lob-Nor, Gos-Kul, Cziemen-Tag, jezioro Jakun, Kapa, Kanisaj, Szar Kul, Polu, Nisa Chotan, Karhałyk, Jarkend, z powrotem na Margielan, Krasnowodzk, Baku, Odessę. W ogólnych zarysach czas, potrzebny na odbycie tej drogi, obliczony jest na 12—14 miesięcy.

Przypuszczalny skład ekspedycji będzie stanowili 5—6 członków, uczestniczących osobiście i finansowo: medyk, przyrodnik, preparator, fotograf i korespondent; eskorta z 4—5 kozaków, przewodnik, tłumacz, poganiacze wielbłądów, jaków i t. d.

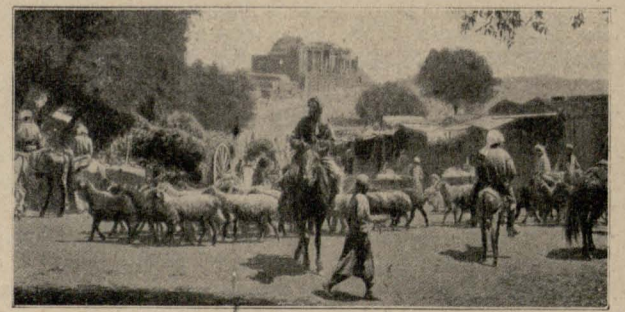
Co do warunków finansowych uczestnictwa, przedstawiają się one, jak następuje: każdy uczestnik wnosi teraz 3,000 rb., a w chwili odjazdu z Odessy—5,000, pokrywając w ten sposób wszystkie bez wyjątku wydatki od dnia wyjazdu do dnia powrotu; lwią część tej sumy pochłona wydatki przygotowawcze, na miejscu: zakup cennych instrumentów naukowych, aparatów fotograficznych, broni, ładunków, preparatów do kolekcji, ubrań specjalnych i obuwia, zapasów żywności i t. d.; następnie wynagrodzenie i utrzymanie służby obozowej; wreszcie — przy takich podróżach ciężar koniecznych materiałów obozowych dochodzi do 600 pudów — zakup i utrzymanie 60 wielbłądów, oraz 15—20 koni. Poważne koszty pociągnie za sobą wyrobienie paszportów, różnych formalności oraz ułatwień. Wreszcie wśród pódzicznych, fanatycznych, chińskich i tybetańskich plemion, złowrogo usposobionych dla Europejczyków, pomimo formalnych paszportów chińskich zjednywać trzeba będzie ludność miejscową podarunkami i datkami pieniężnymi.

Przed paru tygodniami podaliśmy w *Tygodniku* fragment z podróży Francuza po tych nieznanych, dzikich krainach. Daje on pojęcie, jak ciekawą będzie wyprawa, w której szefowi i uczestnikom można życzyć jak największego powodzenia.

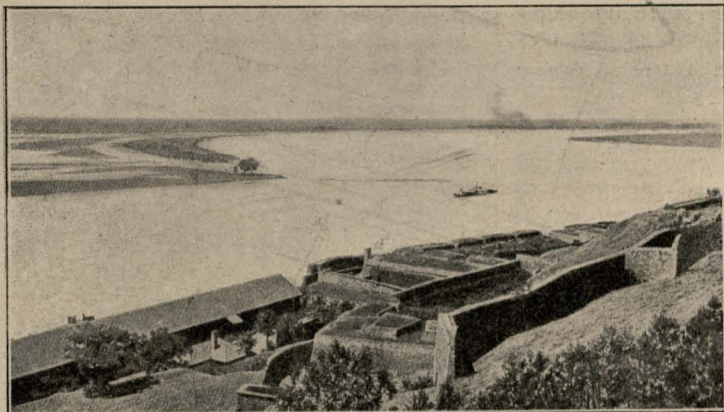
20



Plac targowy w Bucharze.



Targ na owce w Samarkandzie.



Dunaj na granicy Serbii i Austrii.



Król serbski i następca tronu, ks. Jerzy w otoczeniu oficerów na manewrach.

## Na szerokim świecie.

*Serbia przeciw Austrii. — Naokoło zatargu. — Zmienne koleje polityki bałkańskiej. — Czy mocarstwa chcą wojny? — Kiedy spłyną śniegi i lody... — Z Białego Domu do lasu dziewiczego. — Charakterystyka Roosevelta.*

Niebezpieczeństwo wojenne, które zagrażało zupełnie poważnie przed dziesięciu dniami, zostało narazie zażegnane. Czy na długo? Niewiadomo—tak dalece, że położenie może uleść zmianie na gorsze już wtedy, kiedy słowa te dojdą do rąk czytelników.

Zażegnane zostało dlatego, że Serbia rzekła się żądania odszkodowań terytorjalnych wzajemnie za aneksję Bośni i Hercegowiny, powierając interesy swoje w ręce mocarstw. A zażegnane niezupełnie, bo Austria domaga się, aby podobne oświadczenie jej bezpośrednio zostało złożone. Odpowiedzi Serbii na to żądanie dotąd nie mamy.

Cały przebieg zatargu dowodzi wymownie, jakim zmianom podległo ugrupowanie mocarstw w sprawie wschodniej podczas ostatnich lat kilku, wysuwając jednak na plan pierwszy dawne współzawodnictwo Rosji i Austrii na półwyspie bałkańskim, współzawodnictwo, które wypełniało dzieje małych państw słowiańskich—Serbii i Bułgarii.

Potem, od r. 1897 zapanowała zgoda pomiędzy obu mocarstwami. Szły ręka w rękę, może dlatego, że Austria czuła wybitną przewagę potęgi rosyjskiej i z konieczności musiała zdążyć w jej cieniu, albo też z powodu zaabsorbowania Rosji przez jej politykę azyatycką. Potęga—w znaczeniu wojskowym, nie obszaru terytorjalnego—okazała się złudną. Lekcję poglądową dało państwo wschodnio-azyatyckie, w kulturze militarnej ostatnie. Osłabiona Rosja, zmuszona do zaniechania narazie widoków na wschód daleki, z konieczności zwróciła się na bliższy. Z osłabienia skorzystał przy pierwszej sposobności tradycyjny współzawodnik—Austria.

Zmiana istotna zaszła w stanowisku Anglii. Wygrywała niegdyś zawsze „chorego człowieka” przeciwko Słowianom bałkańskim, lekceważyła ich interesy, sprzeciwiała się ich dążeniom jedynie dlatego, by przeciwstawić się na każdym kroku polityce rosyjskiej. Rosnąca potęga morską Niemiec, ich wyzywająca polityka, wywołały zwrot dość radykalny. W łańcuchu sojuszków, zmierzających do odosobnienia państwa Wilhelma II, dwa ogniwa zostały skute z porozumienia angielsko-francuskiego, a w konsekwencji i angielsko-rosyjskiego. „Niebezpieczeństwo słowiańskie” nazywa się teraz „interesami braci Słowian”; Anglia, wprowadzająca przed laty trzydziestu Austrię do Bośni i Hercegowiny, odmawiająca Serbii udziału w kongresie berlińskim, staje się żarliwą orędowniczką rozważania roszczeń serbskich na przyszłej, acz dalekiej konferencji międzynarodowej.

A Niemcy? Ów historyczny sprzymierzeniec Rosji, która cokolwiek w ciągu wieku przeszło ponosiła wszystkie koszty tej przyjaźni, a wzajemnej tylko doznała przysługi podczas powstania

1863 r.? Stanowisko Niemiec reguluje jeszcze zawsze zdanie Bismarcka, powtarzane wielokrotnie w jego *Pamiętnikach*: „Gdyby wypadki postawiły nas w konieczności wybierania pomiędzy Rosją a Austro-Węgrami, musielibyśmy oświadczyć się po stronie Austro-Węgiek, choćby nas to nie wiedzieć co kosztować miało”. Nie trzeba zapominać o tem, że dla Niemiec Austro-Węgry, pomimo przeważającej liczby Słowian, są państwem niemieckim, przez Niemców i przeważnie w imię interesów germańskich politycznie kierowanym.

Cała sprawa zatargu serbsko-austriackiego sprowadza się do odpowiedzi na pytanie, czy mocarstwa europejskie gotowe są jąć się oręża z powodu Bośni i Hercegowiny.

Bo przecież zlokalizowanie ewentualnej wojny, izolowanie zapasników równałoby się poprostu przechadźce militarnej wojsk austro-węgierskich do Serbii i poniesieniu przez to państwo ciężkich kosztów przegranej.

Jakkolwiek rozdrażnienie jest znaczne, a serbska opinia publiczna—co jest zupełnie zrozumiałe z jej stanowiska—silnie wzburzona, to przecież niepodobna przypuszczać, aby w samotnej walce mogła liczyć na zwycięstwo.

Nie liczy na nie z pewnością rząd, złożony z mężów rozważnych i poważnych i w aktach dotychczasowych umiarkowany. Więc postawa wojownicza Serbii, przybierana w celu uzyskania ostatecznie najbardziej wyciągniętych ustępstw, musi mieć jakieś oparcie. Jakiego? Rosji i Anglii. Czy te państwa gotowe są ruszyć wojsko i flotę dla Serbii? Niewiadomo. Tylko tyle powiedzieć można, że więcej słyszymy o zbrojeniach i przygotowaniach Austrii na jej granicach wschodnich, aniżeli na południowych. I że w nowej szacie przymierzy mocarstwa czują się niewygodnie. Resztę—bliska wiosna pokaże, kiedy lody i śniegi z Bałkanów spłyną...

\* \* \*



Roosevelt w dżungli afrykańskiej. Kompozycja przyszłości.

Gdy Europa zbroi się na wypadek możliwej wojny, ustępujący prezydent największej republiki zbroi się również, ale tylko... w niewinnych celach hekatomb biednych stoni i lwów puszczy afrykańskich, które ani się spodziewają przybycia groźnego wroga. Wielki sportsman, głośny wódz *Cow-boy*ów i *rough rider*ów, przytem wielki mąż stanu i niepośledni pisarz polityczny, Teodor Roosevelt, popularny na olbrzymich przestrzeniach „Teddy”, zamierza wypocząć po trudach politycznych na polowaniach w lasach dziewiczych. W Białym Domu zasiadł 3-go marca Wiliam Taft, przyjaciel i jak się zdaje kontynuator idei Roosevelta.



Taft, nowy prezydent Stanów Zjednoczonych, wraz z małżonką, witany na przystani Culebra (Panama).

Imperyalizm w polityce zewnętrznej, a wewnątrz kraju zgniecenie uciążliwej przewagi olbrzymiego kapitału, w liczne *trusty* związanej—oto jakie były te idee. W urzeczywistnianie ich wnosili były prezydent wielki temperament, olbrzymią energią, pewne zapędy despotyczne; ku końcowi swej kariery ze zbytnią może namiętnością schodził sam w szranki bojowe, jak w sprawie panamskiej. Nie będzie takim chłodny i flegmatyczny Taft. Nie zdradzał też dotąd w niczem tej iskry niepospolitego talentu, która cechowała rządy Roosevelta i która zapewni mu w historii Stanów wybitne miejsce, obok Washingtona, Franklina, Lincolna i Granta.

W stan spoczynku, może tylko chwilowego, przechodzi człowiek, który nie demagogią, lecz prawdziwą dla dobra ludu działalnością zdobył niesłychaną w Stanach Zjednoczonych popularność, popularność tak wielką, że były przedsięwzięte usiłowania, aby dla Roosevelta złamać przestrzeganą od czasów Washingtona zasadę i wybrać go na drugie pięcioletnie. Były prezydent oparł się pokusie. A nie brakło jej mocy, bo Roosevelt mógł bez zarzucia myśleć, że rządy jego są potrzebne dla pomyślności państwa, żeglującego w dziejach pod flagą gwiazdzystą.

## SPŁOWIAŁE BOGACTWA.

Wielki przemysł maszynowy XIX stulecia zartał wszelkie ślady artyzmu w rzeczach codziennego użytku, artyzmu, który niegdyś cechował wyroby sztuki stosowanej, zwłaszcza w tej bogatej twórczością artystyczną epoce wieków średnich. Dziś dopiero zaczyna się pewna reakcja, ale daleko jej jeszcze do zapanowania nad szablonami fabrycznymi.

Ciekawą niezmiernie kartę z dziejów przemysłu artystycznego odsłania nam gruntownie i pięknie dziełko dra Emanuela Swieykowskiego, wydane sumptem Muzeum Narodowego w Krakowie, p. t. „Zarys artystyczny rozwoju tkactwa i haftarstwa, objaśniony zabytkami krakowskiego Muzeum Narodowego”.

We wstępie mówi autor, znany już zaszczytnie z kilku prac z zakresu historii sztuki, że celem jego jest zaznajomienie szerszego ogółu z historią artystycznych tkanin i haftarstwa w ogólności, przy specjalnym uwydatnieniu działu tego sztuki stosowanej w Polsce, o ile na to pozwalają źródła. Ułatwieniem w osiągnięciu celu powyższego służyć ma autorowi opis okazów Muzeum Narodowego.

W części pierwszej na 190 przeszło stronach, stylem zwięzłym, bez zbytecznych frazesów, a przytem jasnym i potoczystym, daje nam autor bogaty w szczegóły zarys, zaopatrzony w niektóre historyograficzne uwagi. Przechodząc po kolei rozmaite studia rozwoju gałęzi tkacko-haftarskiej od czasów starożytnych aż do początków ubiegłego stulecia, autor objaśnia sposoby, pomyślane i doskonalone przez technikę i sztukę; wykazuje wpływy, działające na jedną i drugą, motywy, jakie gdziekolwiek i dlaczego zostały z przyrody lub zjawisk historyczno-kulturalnych zaczerpnięte; czas trwania tej lub innej techniki i motywów, przyczyny ich zaniku—słowem, całą, tkacką zwłaszcza, ewolucję w ciągu stuleci. W ten sposób powiodło się autorowi przedstawić rzecz, dającą w rysach ogólnych, lecz bez pominięcia żadnego ważniejszego, pojęcie o przedmiocie, tak mało jeszcze u nas znanym.

Część druga, dzięki dokładnemu opisowi okazów, użytych przez autora za materiał przy układaniu pierwszej, jest zarazem katalogiem rozumo-

wanym, towarzyszem każdego, kto zwiedza krakowskie Muzeum Narodowe. Piękne ilustracje zdobią tę właśnie część omawianej książki; najprzedniejsze z nich podajemy ubocznie w reprodukcji.

Lecz ani wzory, ani nasza o samym dziele wzmianka nie dają o niem przybliżonego nawet pojęcia. Przeczytać je warto, tem bardziej, że przychodzi to z wielką łatwością, czytelnik zaś jest sownie nagrodzony, doznając wrażenia, jakgdyby przed oczyma jego wyobraźni przesuwiał się kinematograf z całym aparatem rozwoju tkactwa artystycznego i haftarstwa, na tle losów kultury narodów europejskich. Autor bowiem potrafił połączyć przedmiot swój z czynnikami natury ogólniejszej.

Bo jakże plastycznie wychodzą u niego owe arrasy i gobeliny, brokаты i altembasy, suknie i pasy, owe „points” rozmaite, owe mnóstwo spo-



Pas złotolity, z fabryki Paschalisa Jakubowicza.

sobów i rodzajów techniki i ornamentacji artystycznej—na tle życia minionych pokoleń; jak są żywi ci świadkowie, niemi, a tak wymowni, doli i niedoli całych społeczeństw i tyłu państw! Każda epoka, każdy objaw ważniejszy artystycznej kultury europejskiej w dziedzinie tkactwa lub haftarstwa ma tu swoich przedstawicieli, ci zaś rodzą się lub znikają pod wpływem obyczajów, pojęć, stosunków wewnętrznych i wpływów obcokrajowych, jako wyniki handlu i stosunków pokojowych, lub jako rezultat wypraw wojennych.

Uwydatnia się to zwłaszcza tam, gdzie autor o Polsce powiada, wykazując, dlaczego i kiedy to lub owo u nas się zrodziło lub przyjęło, a dlaczego znikło.

Gdy zaś przyszło już na świat i zanim przepadło, moda i zwyczaj nakazywały ozdabiać szpalerami lub makatami ściany komnat zamkowych, pałacowych, ściany modrzewiowe domów szlacheckich; suknie i hafty, pasy i fryzy nosili monarchowie, dostojnicy państwa, rycerstwo, szlachta i mieszczanie, piękne panie i młodzież; a jakże wyraźnie stają przed nami wywołane przez autora te stare komnaty, te rozmaite twarze osób w ciągu czasów ubiegłych i na tle zmian kulturalnych...

Książka dra Swieykowskiego ukazuje się ze wszech miar na czasie, w chwili bowiem wielkiego zajęcia się sztuką stosowaną i podniesienia u nas jej poziomu artystycznego.

ksawery CHAMIEC.



Lampas z XVII wieku, z herbem „Orla” i kapeluszem kanonicznym.

## „IGRZYSKO”.

W starych aktach Bollandystów zapisano, że za czasów Dyoklecjana mimos Filemon z Antinoi przybrał na się postać uwięzionego dyakona Apoloniusza, wzamian za niego stawał przed sądem, stał się wyznawcą Chrystusa i poniósł śmierć męczeńską, dokonawszy przedtem wielu cudów.

Krótką tę wiadomość starej kroniki wziął Leopold Staff za temat do swojego ostatniego dramatu trzyaktowego p. t. „Igrzysko”, który w dniu 1 marca wystawiono z niezwykłą starannością na scenie teatru lwowskiego. Fabuły kronikarskiej Staff zbytnio nie rozwinął. W Antinoi do domu bogatego Firmusa przybywa na ucztę wprost z przedstawienia w amfiteatrze słynny aktor Filemon, który dowiaduje się, że jutro mają sądzić dyakona Apoloniusza za wyznawanie wiary chrześcijańskiej. Pod wpływem tej wiadomości w umyśle Filemona powstaje nagle myśl zagrania nowej roli—roli prowadzonego na krwawy sąd Apoloniusza. Takiej roli przesycony sobą i swoimi tryumfami Filemon jeszcze nie grał. Przekupuje tedy strażę więzienia, w którym dyakon Apoloniusz oczekuje sądu, i oto w drugim akcie widzimy jnż Filemona w więzieniu, jak, namówiwszy Apoloniusza do ucieczki, sam przebrał się w jego szaty i przygotowuje się do swojej jutrzejszej roli.

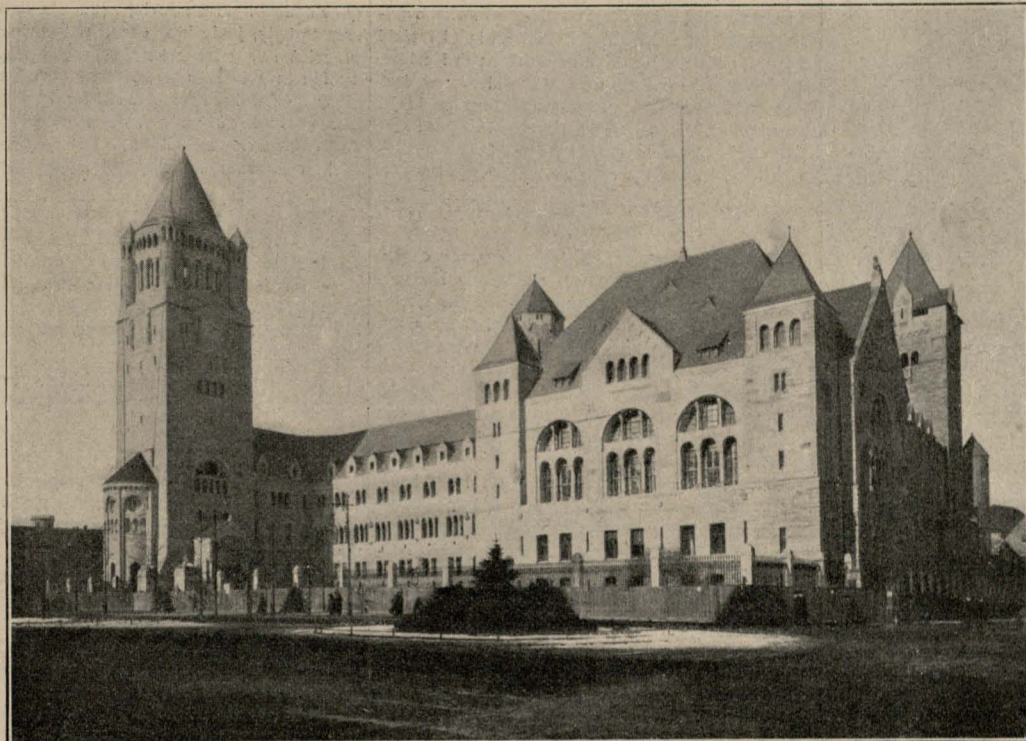
Akt trzeci—to sąd, przed którym staje Filemon w niezwykłej swojej roli. Z początku gra na zimno, samą tylko swoją rutyną aktorską. Później jednak zapala się i przejmuje swoją rolę, tak że, kiedy wreszcie zdejmuje maskę i wyznaje sędziemu, kim jest, nie chce zgodzić się na żądanie jego, aby w celu ekspiacji za żart, który urządził, złożył ofiarę bogom. Za odmówienie temu żądaniu sędzia skazuje Filemona na śmierć. Liktorzy odprowadzają go na miejsce stracenia, ale w drodze dawna kochanka jego Doris podaje mu pierścień z trucizną, który Filemon zażywa, okupując w ten sposób śmiercią jedyną wspaniałą chwilę swego życia.

Na tem tle rozwinął Staff bardzo bogatą tkaninę refleksji na temat wartości życia i stosunku twórców do niego, zamykając je we właściwej sobie formie przepysznie wierszowanej retoryki.

Mimo niezwykle starannej wystawy i reżyserii, „Igrzysko”, podobnie jak oba poprzednio już wystawiane dramaty Staffa, „Skarb” i „Godiva”, nie wykazało żywotności scenicznej. Natomiast, jako poemat, jest to niewątpliwie nowa cenna perła w skarbcu twórczości poetyckiej Staffa.



Brokat z XVI wieku, z motywem wazy i korony.



ZAMEK CESARZA WILHELMA II W POZNANIU.

## Nowe gniazdo krzyżackie.

Cesarz Wilhelm zbudował zamek w Poznaniu. Na prastarej ziemi polskiej, w odwiecznej Piastów dziedzinie, na urągowisko ciemniejszemu ludowi, wznosił hardy a butny potomek mistrzów krzyżackich i brandenburskich margrafów zamek potężny, jako widomy znak posiadania i jako symbol osiedlenia się Niemca w tej krainie.

Tam, gdzie przed wiekami Bolesławy i Mieszki jako orły, czuwały w warownym grodzie nad przestrzenią szeroką rodzimych pól, tam panuje gniazdo drapieżnego sępa, raubrittera krwi polskiej i polskich łez.

Ale, gdy zjedzie władca wielkiego mocarstwa na pograniczną siedzibę, jakież będzie pierwszy sen jego pod dachem rzekomo własnym?

Jak Geronowi pomordowanych książąt słowiańskich twarze stały przed oczyma błędnymi od grozy, tak nad wspaniałą łożnicą mocarza pochyla się tłumnie widma wygnanych starców i kobiet, blade twarzyczki wrzesieńskich dzieci, ściągnięte bólem i nienawiścią lica ojców i matek, zadumane głowy wielkopolskich chłopów, którym grozi banicya z ziemi, usianej prochami pokoleń i przenikniętej ich potem i krwią.

A wszyscy oni w świętej mowie ojczystej, której im wzbrania bezprawie pruskie i przemoc wraza, wołać będą, jak bijące na gwałt dzwony: o kres niedoli, o zmiłowanie Boże, o Grunwald dla krzyżackiego ducha i krzyżackiej pięści. I zamek na pograniczu mocarstwa będzie dla władcy mnogich ziem i ludów, jako miejsce kaźni, okropnych wizji pełne i przypominające sprawiedliwość Boską.

## Konstanty Maryan Górski.

W artystycznym hufcu krakowskim śmierć przedwczesna i niemal niespodziewana nowy uczyniła wyłom, jeden z tych, które trudno wypełnić. W piątek 5 b. m. o godz. 10 wieczorem zmarł w 46 roku życia po krótkiej chorobie róży Konstanty Maryan Górski, głośny i uznany estetyk i profesor historii sztuki w Akademii sztuk pięknych.

Przed kilku tygodniami ś. p. Górski opuścił swoje stanowisko profesorskie, ale nie z braku sił

do dalszej pracy. Przeciwnie, zrzekając się umiłowanych obowiązków nauczycielskich, chciał on tylko zyskać więcej czasu na pracę, której podjął się być z polecenia Akademii Umiejętności, a którą chciał uczynić dziełem swego życia. Miała to być historia sztuki w Polsce. Przyjaciele jego wiedzieli, z jakim zapałem i miłością zabrał się był ś. p. Górski do pracy, jak wiele sobie po niej obiecywał, jak ożywczy wywierła ona wpływ na tę dobrą, wrażliwą i miłą, może aż nazbyt miłą naturę. I oto śmierć nieubłagana nie pozwoliła mu dokończyć ukochanego dzieła, po którym słuszenie można sobie było wiele obiecywać.

Bo też niewielu jest w Polsce ludzi, którzyby tak ze wszech miar byli uzdolnieni do opraco-



Konstanty Górski. Pointe-sèche L. Kowalskiego.

wania historii sztuki naszej, jak ś. p. Górski. Erudycja głęboka, znawstwo wytrawne i umiłowanie szczerze—oto te dane zasadnicze na historyka sztuki, które zmarły posiadał w całej pełni. Do studyów głębokich nad sztuką popchnęła go tylko wewnętrzna potrzeba duszy wrażliwej na piękno. Prawnik z wykształcenia, zamożny, szeroko ustosunkowany, ś. p. Górski nie poszedł otwartą przed nim drogą zwyczajnej, banalnej kariery, ale wyjechał zagranicę na studia estetyczne, pracując najdłużej i najowocniej u słynnego historyka sztuki Grimma w Berlinie. Po odbyciu jeszcze szeregu podróży naukowych po Europie, wrócił ś. p. Górski do Krakowa, gdzie osiadł na stałe, dając się odradu poznać, jako pierwszorzędną siłą w dziedzinie historii sztuki. Najważniejszą jego pracą, która utorowała mu drogę na katedrę w Akademii w r. 1895, był „Przegląd wystawy retrospektyw-

nej sztuki polskiej na wystawie we Lwowie w r. 1894”. Poza tem hojnie po pismach polskich rozrzucone prace i oceny estetyczne ś. p. Górskiego pozwalały oczekiwać, że niebawem zbuduje on sobie pomnik trwalszy i zalet swoich godniejszy.

Bogatej tej naturze nie wystarczało jednak samo studyowanie twórczości obcej. Ś. p. Górski próbował tworzyć sam, a próby te, aczkolwiek nieliczne, świadczyły o jego talencie pochlebnie. Pozostał po nim tom wierszy bardzo dobrych i szczerym sentymentem nacechowanych i nowela „Biblioman”, odznaczona pierwszą nagrodą na nowelistycznym konkursie krakowskim.

Jako profesor, był ś. p. Górski nieporównany. Swobodny, bez cienia wszelkiej napuszości profesorskiej, niezmiernie łatwy w obcowaniu, umiał oddziaływać na młodzież, wykładów jego słuchającą, w kierunku najszlachetniejszym, budząc w niej zapał i uwielbienie dla sztuki. Uczniowie jego stawali się potem najserdeczniejszymi jego przyjaciółmi. Piszący te słowa widział ły w oczach jednego z takich byłych jego uczniów. Czy może być lepsze kryterium dobroci profesora?

To też głęboki i szczerzy żal szerokich kół krakowskich towarzyszył ś. p. Górskiemu, kiedy ciało jego składano do grobu. Zbyt wiele on mógł i zbyt krótko żył, aby można było ocenić stratę, jaką sztuce i kulturze polskiej śmierć jego wyrządziła. S.

## Pierwsze uczenie pięćsetlecia Grunwaldu.

W roku przyszłym ubiega 500 lat od historycznego pogromu Niemców pod Grunwaldem.

*Tygodnik Ilustrowany*, zawsze czujny i pilnie baczący na obchody rocznic narodowych, postanowił upamiętnić pięćsetlecie Grunwaldu wspaniałym wydawnictwem albumu kolorowych rycin, przedstawiających tysiącletnią walkę Polaków z żywiołem germańskim, walkę, której etapy noszą nazwy: Psie Pole, Płowce, Grunwald, hołd pruski, rugi pruskie, Wrześnię, ucisk szkolny, wywłaszczenie.

Twórcą tego albumu, który niewątpliwie stanie się cenną pamiątką drogiej sercu polskiemu rocznicy, będzie znakomity malarz, Wojciech Kossak, z którym zawarta właśnie została ostateczna umowa.

A że w roku bieżącym przypada półwiekowa rocznica pracy na niwie ojczystej *Tygodnika Ilustrowanego*, więc redakcja postanowiła ofiarować prenumeratorom rzeczony album, jako *bezpłatne premium jubileuszowe*.

Inicyatywa *Tygodnika* znalazła żywe echo w prasie polskiej.

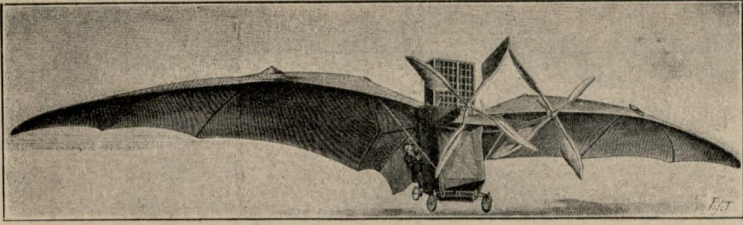
*Kuryer Warszawski* mówi:

„*Tygodnik Ilustrowany*, który w r. b. obchodzi pięćdziesięciolecie swego istnienia, dobrze zapisanego w dziejach piśmiennictwa polskiego, podjął wydawnictwo wspaniałego premium, przeznaczonego jako podarunek jubileuszowy dla prenumeratorów tego najstarszego w kraju pisma obrazkowego”.

„To pierwsze uczenie rocznicy Grunwaldu—czytamy w *Przeglądzie Porannym*—wzbogaci nasz dorobek artystyczny i w sposób najgodniejszy upamiętni wielką chwilę przeszłości naszej, świadcząc, iż tryumfy polskiego miecza mają dziś swój odpowiednik w tryumfach polskiego ducha.

„Talent Kossaka, jego stanowisko w sztuce polskiej dają najzupełniejszą rękojmię, że wydawnictwo omawiane stanie na wysokości zadania. Przyklasnąć należy temu pomysłowi, który upamiętni jednocześnie i rocznicę wiekopomnej bitwy, i jubileusz tak wybitnej placówki kulturalnej, jaką jest *Tygodnik Ilustrowany*”.





„Avion” Adera (1893—1897), protoplasta aeroplanów dzisiejszych.

## WYSTAWA AERONAUTYCZNA.

Przez cały wiek ubiegły szukająca po omacku drogi właściwej aeronautyka zaczyna obecnie, dzięki wynalazkowi motorów lekkich a silnych, tudzież innym zdobyczom na polu techniki, dążyć coraz to śmielej i pewniej do celu wytkniętego, do szczytu marzeń tyłu wieków: ujarzżenia powietrza.

Z jednej strony hr. Zeppelin, Lebaudy, Santos Dumont, Gross, pracując nad ulepszeniem aerostatów, z drugiej zaś — bracia Wrightowie, Farman i inni, udoskonalając aeroplany, osiągnęli takie wyniki, że wątpić już nie można o rychłym zastosowaniu aeronautyki do celów praktycznych.

Nie dziwo też, że zaciekawienie pod tym względem wzrasta z dniem każdym i że we Francji, gdzie od czasu prób kapitanów Rénarde i Krebsa aeronautyka rozwijała się wciąż, popierana tak przez rząd, jak i osoby prywatne, powzięto też myśl unaocznienia wyników otrzymanych przez urządzenie wystawy specjalnej.

Takim sposobem powstał w grudniu r. z. w Paryżu pierwszy „Salon de l’Aéronautique” (Salon aeronautyczny).

Znalazło tam pomieszczenie wszystko, co się tyczy aeronautyki nowoczesnej, podzielone na dwa działy: przyrządów lżejszych, oraz przyrządów cięższych od powietrza, z których każdy posiada zwolenników i bojowników zagorzałych, nie wierzących w zwycięstwo ostateczne przeciwnika.

W dziale pierwszym widnieje olbrzymie cisko żółte balonu do sterowania „Ville de Bordeaux”, zbudowanego przez towarzystwo „Astra”, kilka balonów sferycznych, modele motorów najnowszych, tkanin balonowych, łoża i najróżnorodniejszych

przyrządów pomocniczych.

W dziale drugim, budzącym daleko więcej zainteresowania z powodu wspaniałych rekordów Orville’a Wrighta, zebrano większość znanych dotychczas modeli aeroplanów systemów najrozmaitszych. Po środku, na piedestale, widnieje model protoplasty aeroplanów dzisiejszych, „Aviona”, zbudowanego pomiędzy 1893 a 1897 r. przez Adera, na podobieństwo nietoperza. Podczas prób, dokonanych wówczas, przyrząd ten — zdaniem kilku świadków — miał przelecieć w powietrzu 300 metrów, nie dotykając ziemi i nie łamiąc się przy upadku, co należałoby uważać za wielkie zwycięstwo, jeżeli zważywszy, jak smutno zakończyły się próby, przedsięwzięte niemal jednocześnie przez awiatyka niemieckiego, Lilienthala.

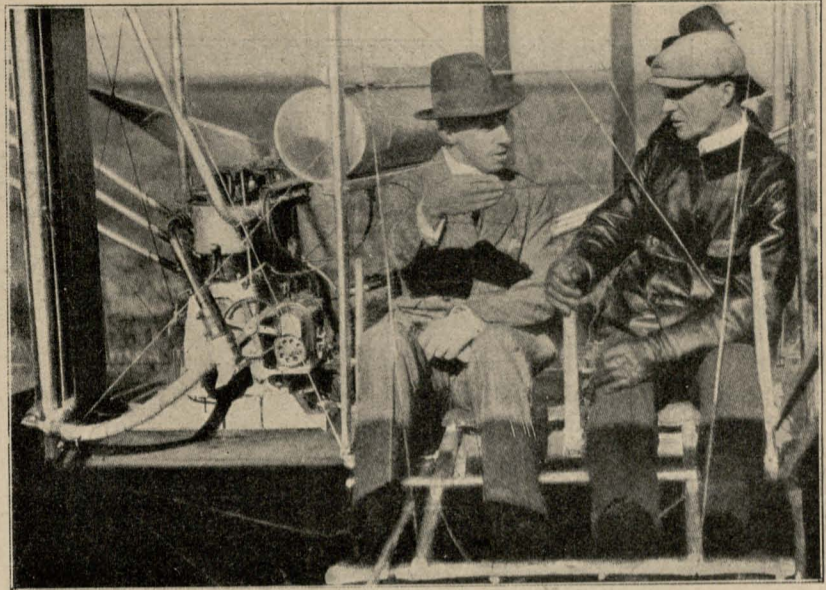
Dokoła modelu tego, należącego obecnie do zbiorów muzealnych konserwatorium sztuk i rzemiosł w Paryżu, ustawiono najróżnorodniejsze modele przyrządów nowoczesnych.

*A tout seigneur tout honneur* — wymieńmy więc przedewszystkiem aeroplan braci Wrightów, tak szeroko rozstawiony ostatnimi czasy w świecie naukowym i nienaukowym. Dalej monoplan Blériota, ten sam, który niedawno dokonał w Arthenay trzydziesto-kilometrowej podróży napowietrznej, aeroplany Antoinette’a, Delagranga’a, Esnault-Pelterie, Clemensa, biplan Blériota, giropłan Brégueta, oraz cały szereg projektów najnowszych, czekających na urzeczywistnienie. Podajemy je na tablicy oddzielnej. Każdy z nich teoretycznie posiada zaletę mnóstwo, lecz wiele to już teorii zawiodło, dziś więc jeszcze projekty te stanowią tylko ciekawy przyczynek do usiłowań umysłu ludzkiego w kierunku opanowania sfer napowietrznych.

Niemniej może ciekawy jest dział motorów, skrzydeł, rusztowań i matery dla aeroplanów. Dział to jednak zbyt specjalny, aby go omawiać w artykule pobieżnym, zaznaczymy więc tylko, że co do motorów, to zabiegi, dążące do nadania im lekkości jak największej bez straty na sile, wykazują wciąż postępy zadziwiająco, oraz że co do rusztowań, to drzewo bierze w nich górę nad wszelkimi metalami.

Z rozmaitych gatunków drzewa najbardziej używane są na rusztowania aeroplanów: jesion, hikory (orzesznik) i pitchpin (rodzaj sosny).

Zajmujące są wreszcie okazy nowszej, bo zaledwie kilka miesięcy liczącej gałęzi przemysłu, a mianowicie fabrykacji wielkich płaszczyzn sztywnych, nie tracących kształtu, a zarazem lekkich, dla wszelkiego rodzaju aeroplanów.



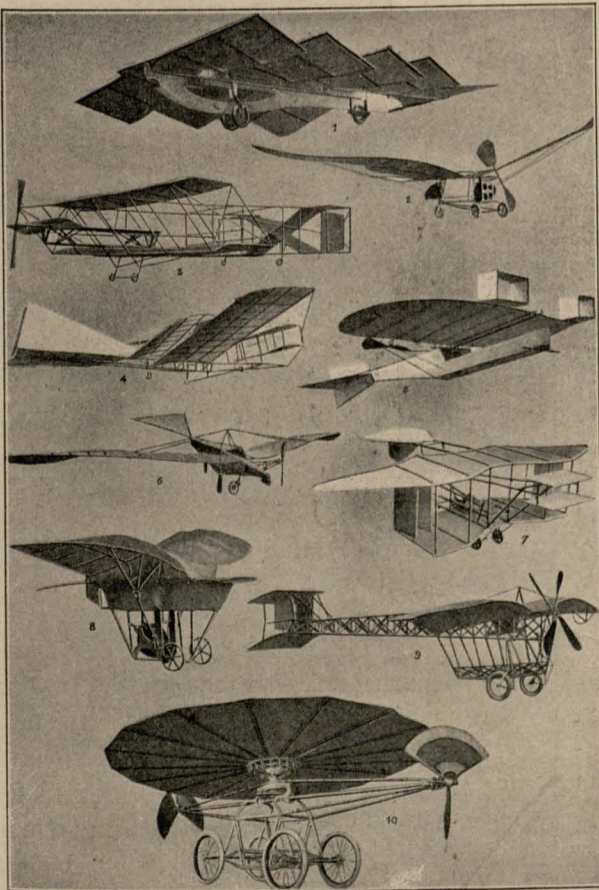
Alfons XIII z Orville’em Wrightem na laweczce aeroplanu jego pomysłu.

Zestawienie to po raz pierwszy, pod jednym dachem, wszelkich zdobyczy najnowszych na polu aerostatyki i awiatyki przyczyni się bez wątpienia do dalszego rozwoju zwłaszcza drugiego z tych działów aeronautyki, zapozna bowiem szerszą publiczność z budową aeroplanów i, być może, natchnie którego z pracowników na niwie awiatyki pomysłem nowym, błyskawicznym, który stanie się sygnałem ostatecznego tryumfu człowieka nad atmosferą.

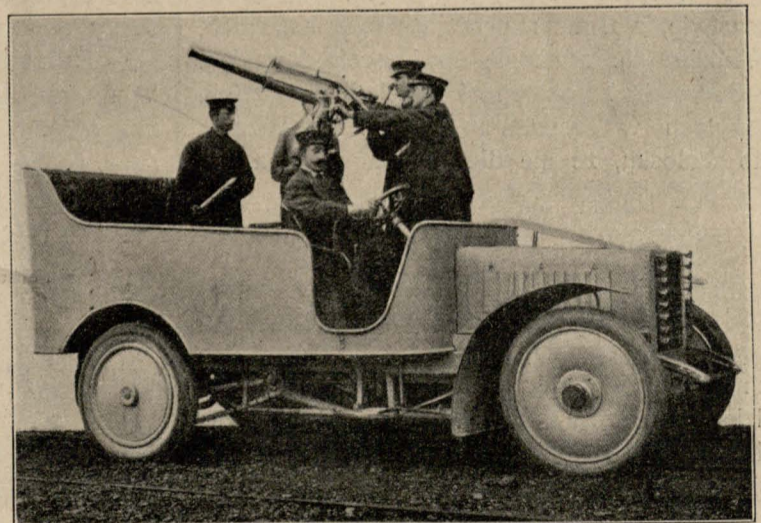
S. B.

## Przeciwno balonom.

Znajdujemy się w przededniu olbrzymiej zmiany, jaką wytworzą balony i aeroplany nie tylko w zakresie komunikacji, ale i na niwie wojskowości. Obecnie więc już umysł ludzki wysłał się nad wynalezieniem odpowiednich środków obrony przeciwko strasznym przyrządom napowietrznym, mogącym siał zniszczenie i śmierć z pod obłoków. Przedewszystkiem zwrócono pod tym względem uwagę na samochód, jako wehikuł szybki, oraz mocny, i oto powstał już typ samochodu wojskowego, przeznaczonego specjalnie do walki z balonami i aeroplanami. Samochód, przedstawiony na rycinie załączonej, pochodzi z reńskich zakładów metalurgicznych (*Rheinische Metallwaaren- und Maschinenfabrik*). Opancerzony do połowy i posiadający czterocylindrowy motor benzynowy o sile 20 koni parowych, mieści z łatwością 4 osoby, oprócz mechanika. Pomiędzy siedzeniami dla obsługi znajduje się kartaczownica systemu Hotchkissa dla pocisków 8-milimetrowych: tak umieszczona na laweczce specjalnej, że może być wymie-

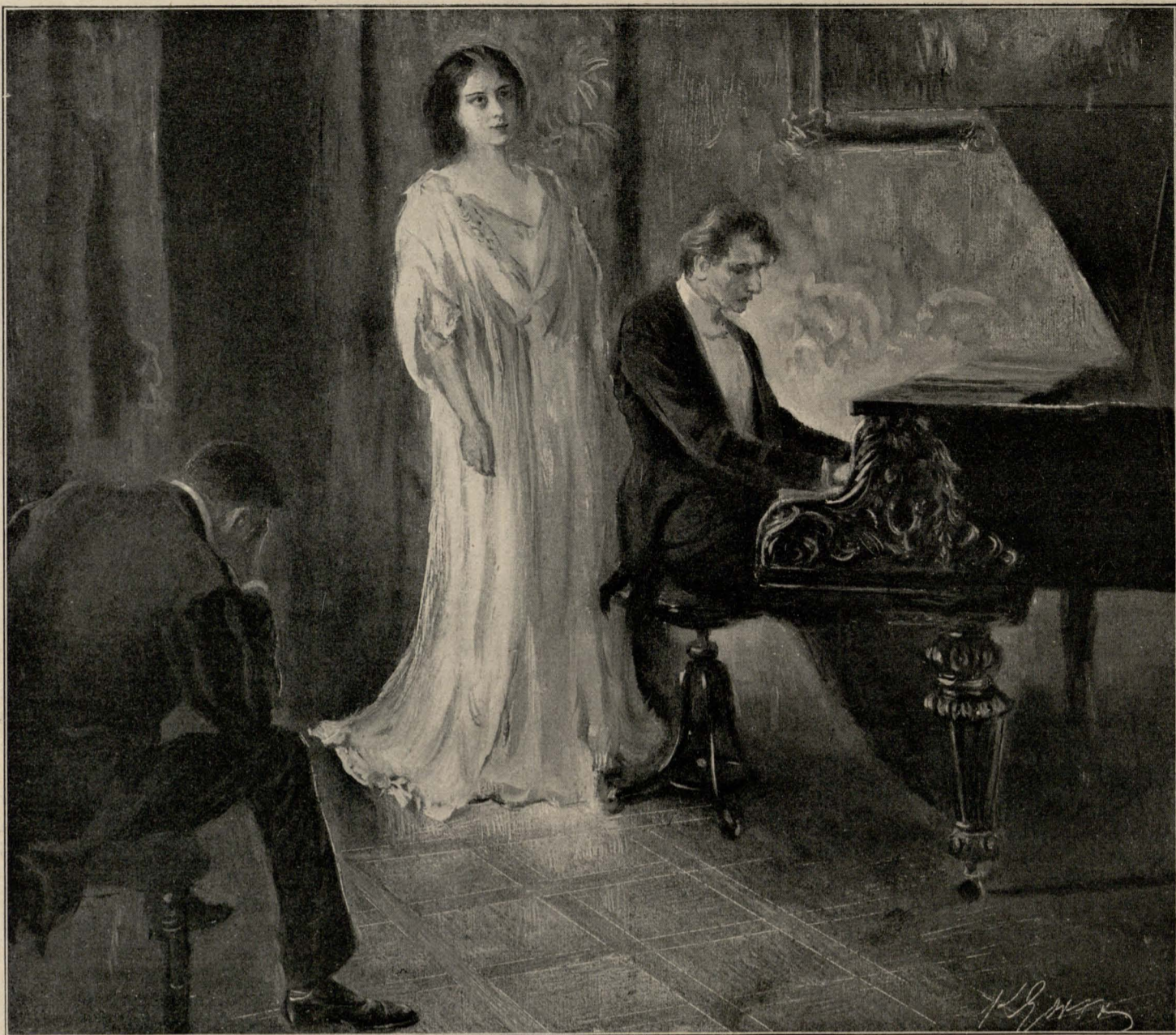


- 1) Aeroplan poczwórny. 2) Model Vignietiego o skrzydłach ptasich. 3) Biplan Latapiego. 4) Model Serganta, stanowiący połączenie biplanu z monoplanem. 5) Biplan Trochu, z równoważnikiem kształtu ogona zaokrąglonego. 6) Monoplan Jourdaina. 7) Biplan spółki Bruyère-Sarazin. 8) Aeroplan Brémonda. 9) Projekt Towarzystwa budowy przyrządów napowietrznych. 10) Helikopter Latate’a o płaszczyźnie unoszącej w kształcie parasola.



Przeciwno balonom.

rzona w górę, lub zataczać pełny łuk koła, zasympując, bez poruszenia się z miejsca, cały widnokrąg pociskami. Jest to więc znów krok naprzód w strasznym postępie sztuki wojskowej.



Za nim stała postać kobieca.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

## U N I A

POWIEŚC LITEWSKA.

11)

Zastrzega się prawo przedruku.

Wkrótce urwały się tańce. W towarzystwie, złożonym przeważnie ze starszych, młodzież nie czuła się dość swobodną. Miś i Beno, choć pokrzepiali się ciągle z butelek, ukrytych w sąsiednim salonie, doszli zaraz do wniosku, że nie dla nich ta zabawa.

— Nudna buda!—rzekł Beno do brata.—Chodźmy do piekarni.

Damy chodziły po salonach w mniejszej lub większej asystencji; próbowano wyjść do ogrodu, ale było chłodno i pochmurno. Wieczór powszedniał coraz bardziej, zwłaszcza że urządzono partyę wina dla marszałka Wiliaszewa, około której rozsiadło się dużo mężczyzn.

Ale nagle ten zasypiający dzień drgnął wyborną muzyką, tak częstą na Litwie. Nie grał już Assernhof, lecz jakiś chudy, nerwowy młodzieniec. Potężne akordy poloneza Chopina wtargnęły do salonu i powiały przez senne dusze obecnych. Kto paplał, ucichł;

kto drzemał, otrząsnął się. Wśród ciszy działy się dziwy tej muzyki arcy-polskiej.

Rokszycy, przeszedłszy na palcach do kąta mniej oświetlonego w pobliżu fortepianu, usiadł i słuchał w skupieniu. Miał przed sobą chudy profil grającego młodzieńca, podobny nieco do Chopina; za tym profilem w głąb—część pokoju, nie zajęta przez ludzi, obraz jakiś, źle zwrócony do światła, więc mętny; długi szmat materyi, mieniającej się wypłowiałą barwą, i pusty otwór drzwi do sąsiedniego pokoju.

Powoli nikła mu z przed zamglonych oczu plastyka rzeczywistości, wstawała melodyjna plastyka marzenia. Z wojowniczych akordów wiała groza walki, rozpęd zastępu, rzuconego w orgię bitwy, młot rytmiczny piersi, wyteżonych ku pogębieniu sił nienawistnych, zamaszystość ramion rąbiących, zapamiętałość poświęceń.— Bohaterzy, jeżeli zwyciężą, arlekiны, jeżeli zginą!

I czuł się Kazimierz niesionym przez

bojowy szal ojców i praojców, słyszał chrzęst skrzydeł, osadzonych w stali, i furkanie porpców. Starożytna дума rośnie w młodą potęgę, odwieczny żar wybuchu ziejącym ogniem— — —

Ściera się furor ataków ludzkich o góry kresowe przeznaczeń, gaśnie pożoga zapalów w syczącym zalewie losu.— — —Przebrzmiały dni walki, krwią gorącą i nadzieją rozkoszne. Pobojowisko i żal! W żalu jęczy дума narodu stracona, tęgość zmarnowana, szlachetność, wydana na pośmiewisko. Nie dostrojone do grzmiącego wtóru powodzeń, samotne, ogromne pragnienie boli.— — Ale w bólu wieszczka ocalała siła i piękność—i piękność wznosi się znowu do potęgi: woła głos jeden za miliony...

Ponurzoną w melodyjnej zadumie głowę wznosił Kazimierz na grającego. Za nim... za Chopinem?—stała postać kobieca, rzeczywista postać kobiety, nigdy nie spotkanej.

Biała jej szata spadała kształtem żywej



kolumny z ramion obnażonych, raczej dziewczęcych; rzeźbione ręce puściła wzdłuż postaci, której skład harmonijny nie dawał wrażenia wielkości. Czy była wyniosła? Zapewne, ale przedewszystkiem miła oku. Drobna jej głowa, obciążona związanymi poprostu ciemnymi włosami, zdawała się zastygła w kołysaniu na szyi giętkiej i tak zastosowanej do głowy, jak łądyga do kwiatu. Zwracała do Kazimierza profil niezupełny, wróżyć o rozkoszy spojrzenia.

Kazimierz przetarł oczy. Polonez Chopina? tak. Ale to przecie nie muza jego, ani marmur, ani przywidzenie... Musiała wyjść cicho z tych drzwi otwartych i stanąć tu, na tle wypłowiałej kotary... O! zwraca oczy.

Błysnęła ku niemu ciemna iskra spojrzenia, przyciągnięta magnetycznie. Jakie oczy! Czarne, zdaje się, a może złote? oczy z samego blasku.

— Z blasku—powtórzyły oczy, zwracając się wyraźniej w stronę Kazimierza, pełne wśród cienkich powiek, panujące na twarzy poważnej i jasnej.

W tej postaci dostrzegł teraz Kazimierz pewien niepokój, jakby otrząsała z siebie wrażenia poboczne, pragnąc samotna słuchać muzyki. Ale każda fala jej ramion, każdy cień, płynący po jej twarzy do wtóru cudownej melodyi, były tak estetycznie ciekawe, tak serdecznie pociągające, że Kazimierz patrzył jeszcze, jeszcze trochę... Nareszcie, gdy odwróciła się od niego zupełnie bokiem, Kazimierz pomyślał, że jest natrętny, i zakrył nerwowo twarz ręką.

Koncert Chopina grał mu już teraz o niej. To musi być ta dziwna pani Krystyna, o której mówią wszyscy: piękna.—Co mi to za słowo! W formie tej, jak w wysokiej muzyce, wszystko jest harmonią, która nawiewa górne uczucia i myśli. Życie w niej kwitnie, radość i boleść życia mieszkają w oczach tych, w ustach rozkosznie dziecięcych. I oto stoi tu...

Spojrzał ostrożnie przez palce, żeby jej nie spłoszyć. Stała uspokojona, oparta oburącz o poręcz krzesła, z nachyloną głową, zasłuchana zupełnie.

— Oto nie przyszła do ludzi pokazać się, olśnić sobą, zbierać pochwały. Przyszła do muzyki, pięknej, jak ona; Chopin ją wziął, duch czysty i pokrewny, i zaniósł z sobą w bezcielesnym uścisku do krain, gdzie niema zgrzytów, gdzie boleść jest tonem, zlewającym się z akordami harmonijnej wszechwiedzy. Teraz Ona żyje, nie obrażona zgiefkiem fałszywym codnia, w uwielbieniu swych mar uduchowieonych, w całowaniu swej rozkoszy samotnej.

Podążał za nią Kazimierz, lirycznie myśląc, wiążąc myśli i uczucia w snopy pokrewne tylko tonem, za pomocą logiki tego najpiękniejszego ze snów, którym jest muzyka.

Patrzył już bezwstydnie na twarz jej, zmienną od płynących przez nią tonów, i muzyka w jej oczach stawała się dotykalszą, przejmującą. Gdy się wznagały harmonijne grzmoty, kobieta oczyma pełnemi czarnej grozy zaglądała w ciemniejszą stal oczu mężczyzny i znajdowała w nich wierne odbicie swej wewnętrznej burzy. Kiedy

znowu melodya łkała boleścią indywidualną jednej rozdzierającej nuty, puszczała oboje przed siebie spojrzenia równoległe, idące we wspólną dal.

I tak słuchali już do końca pieśni, równo skrzydłami.

Gdy przebrzmiały ostatnie akordy, Krystyna spojrzała raz jeszcze na Kazimierza i skinęła mu głową lekko, jednak wyraźnie.

Powstał żywo i postąpił krok ku niej, ale pani Krystyna zawróciła z miejsca ku drzwiom otwartym i szybko przeszła przez sąsiedni pokój, aż znikła. Kazimierz przystanął, jak goniec, zraniony w biegu. Opał się, wyprostował i niechętnym wzrokiem powiódł wkoło. Salon był pełen ludzi—takich natrętów.

— Krysiu! Krysiu!—wołała księżna za uchodzącą.—Przywitajże się przynajmniej... Waryatka!

Wiele osób zbliżyło się do młodego wirtuoza z cichym dziękowaniem. Ale on, blady i nieprzytomny, ścisnął z roztargnieniem podawane mu dłonie i zaraz opuścił salon.

Roksycki chętnie uczyniłby to samo, czuł bowiem płomienie w piersi i na twarzy. Pozostał jednak, aby ukryć swe wzruszenie, i starał się jak najpogodniej odpierać przytyki księżnej Zasławskiej.

— Przyciągnął pan Krysie jakims magnetyzmem, ale trzeba ją było już przytrzymać. Widziałam, jak pan rzucił się w po-goń—cóż, kiedy nie dogonił...

— Księżna raczy ze mnie żartować. Pani Krystyna przyszła zapewne na odgłos muzyki. Nie byłem dotąd jej przedstawiony.

Pani Wiliaszew wmieszała się do rozmowy.

— Zapewne, że przyszła tylko dla muzyki. Była przecie bez gorsetu. Nie chciała, widać, ubrać się na wieczór, tylko tak coś ją poniosło, jak to ona zwykle.

— Co też ty mówisz, Wiero, że była bez gorsetu? Miała gorset, tylko włożyła na wierzch taki szlafrok z fałdem Watteau, bo wie, że jej w tem najlepiej. Ma talię trochę przysadzistą.

— Pani Krystyna?!—zawołał Kazimierz bez namysłu.

— A tak. Pan nie zauważył? Patrzył pan ciągle w oczy?

— Można się, widać, pomylić, patrząc na kobietę przez muzykę—starał się poprawić Roksycki.

— Albo przez luźny szlafrok—dodała księżna.

— Niezglobione są przebiegi kobiece—dodała jeszcze pani Wiliaszew.

Roksycki poczuł naraz dla obu kobiet, z którymi rozmawiał, pogardę, choć uprzednio był dla nich raczej dobrze usposobiony. Żeby wiedziały, jak dalece przez zawistny ton rozmowy obniżały swój własny wdzięk! Ale najprzebieglejsze nawet kobiety popadają w ten gruby błąd ganienia cudzego towaru, narówni z przekupkami.

Przebłyskowe zjawienie się pani Krystyny było przedmiotem rozmów i między mężczyznami.

— Ładna laleczka—mówił pan Apoli-

nary Budzisz—ale chuchro takie, dobrodzieju mój.

— A czy dasz pan wiarę—wtrącił się Fedkowicz, „wychodzący” od winta—że taka laleczka najlepiej lubi bawić się z chłopami? Taki już gust jej do prostych włościan.

— At, pleciesz, panie Litaworze—skrzywił się Hieronim Budzisz.

— Co mnie pan mówisz, kiedy ja sam, często bywając w Rarogach u kuzyna Eustachego, widziałem panią Krystynę w konwersacji z parobkami!

— Tak i cóż? Z ludem gadać nie wolno? Wiadomo, dziwaczy się, ale kobieta zacna.

— Jaż nie mówię. Tylko ten wybór towarzystwa! Od nas to ona ucieka.

Pan Gotard Assernhof kręcił tymczasem w palcach śpiczastą szwedzką brodę, krotochwilnym spojrzeniem mierząc Fedkowicza.

— Gdzie podziałeś, Litaworze, ten okaz mieszańca owcy z wielbłądem, który mi miałeś sprzedać?

Fedkowicz zaoponował żywo:

— Z jakim wielbłądem?! Owce nasze krzyżują z angorską owcą—szybkobiegiem!

— Mówiłeś: z wielbłądem; dobrze pamiętam. I cieszyłem się, że będę mógł takiego mieszańca strzydz, doić, a razem wsiąść na niego wygodnie oklep i przyjeżdżać do ciebie na gawędę o twoich nowych wynalazkach.

— Nie potrzebujesz, panie Gotardzie, ulepszeń w swojej gospodarce; wszystko tam idzie, jak za króla Sasa.

— To też czekam na mieszańca owcy z wielbłądem. A jak go zobaczę, to może uwierzę w ciebie i w gusta pani Krystyny.

— Ot i dobrze tobie!—zawołał Hieronim Budzisz, trzęsąc kanapą od ogromnego śmiechu.

Ale Fedkowicz zgorzkniał na twarzy i wyprostował się, obciążając poły fraka.

— Nadto już sobie pozwalasz przesła-dować mnie, panie Gotardzie. Będę zmuszony...

Assernhof nie dał mu dokończyć. Rzekł, wznosząc rękę:

— Dobrze: przysyłaj sekundantów. Ja, jako wyzwany, mam pierwszy strzał i wybór broni. Wybiorę sztucery. Jak świsnę kulka tu...—(wskazał czoło)—to i Masia za mąż wyjdzie.

Fedkowicz machnął ręką i odszedł do stolika wintowego.

— Cóż to za Masia znowu, panie Gotardzie?—pytał Apolinary, trzęsąc się od śmiechu.

— A to jego taka towarzyszka, przybrana do poufności w interesach. Wynalazek stary, ale odkrycie, jak powiadają, cudowne. Czekają tylko, aż Litawor z Wilna wyjedzie, aby sobie urządzać wesołe kolacyjki. Tożby się ucieszyła, gdyby wyciągnął kopyta!

Tylko w tym kącie salonu śmiano się, gdzie perorował pan Gotard. Inne kąty powoli pustoszały.

A. E. CASTLE:

## Dzieciak.

Pułkownik siedział w namiocie i przy świetle lampki kopcającej robił notatki na mapie, oraz badał ją uważnie. Praca żmudna i dająca częstokroć wyniki sprzeczne; jedno tylko było pewne: oddział jego znajdował się w niebezpieczeństwie.

Obok mapy stał kubek z whisky i wodą. Pułkownik popijał z niego od czasu do czasu tak spokojnie, jakby znajdował się w gabinecie swoim. Sumienie miał czyste. Posłano go tutaj i—oto jest. Kazano zająć wawóz i utrzymać się w nim, zajął go tedy i utrzyma do ostatka.

Rzuciwszy raz jeszcze okiem na notatki, złożył starannie mapę, wychylił resztę zawartości kubka, sięgnął po starą fajkę i zaczął nakładać ją ordynarnym tytuniem krajowym.

Szmat płótna, zakrywający wejście, odchylił się nagle i do namiotu wkroczył młodzieniec smukły, suwając bezładnie nogami, obutymi w trzewiki ciężkie. Stojący przy stole pułkownik nie odwrócił się nawet, tylko oczy jego małe spojrzyły bystro z pod brwi gęstych na wchodzącego. Wiedział, że nikt inny, oprócz syna, nie ośmieliłby się wejść tak poufale do namiotu.

Młodzieniec rzucił się na matę przy piecyku naftowym i, rozpostarłszy palce, zbliżył je do żelaza rozgrzanego. Ręce, wyciągnięte, bezkrwiste, drżały, jak w febrze, zęby szczękały. Ojciec wzruszył ramionami i palił fajkę w milczeniu. Milczenie to było wyrozumiałości pełne, bo też stan chłopca wymagał wyrozumiałości.

Tydzień zaledwie znajdował się na placu boju, przez ten tydzień jednak miał dość czasu, aby wyrazić ojcu rozczarowanie i wstręt głęboki do nowoczesnego sposobu wojowania. To też duma ojca z dzielności syna trwała tylko od chwili otrzymania z Anglii depeszy o przyjeździe jego aż do chwili, gdy zjawił się w obozie. Ale przeciąg ten czasu napełniał serce pułkownika dumą taką, jakiej nie doznawał nigdy, nawet wówczas, gdy dokonywał czynów wybitnych na polu walki. Duma ta ujawniała się wymową niezwykłą.

— Dzielnie spisał się dzieciak!— powtarzał towarzyszom broni tak często, że w końcu znudził ich temi pochwałami. — Opuścił uniwersytet, wstąpił do wojska, jako ochotnik, i jedzie. Dzielnie spisał się dzieciak!

I nazwa ta przyłgnęła do chłopca. Zanim jeszcze przybył, nazywano go w pułku powszechnie Dzieciakiem.

Bóg wie, ile wizyi czynów wielkich, patriotycznych, wojennych przewinęło się przez mózg rozmarzony studenta dziewiętnastoletniego. Ile obrazów wzruszających, wspaniałych, malowniczych wojny chwalebnej!

Lecz pierwszy zaraz tydzień marszów bez końca, okopywania się żmudnego i życia w obozach rozwiął te obrazy tak barwne, tak pociągające.

Wszystko, co ujrzał na jawie, zdawało mu się zarówno brudne, jak brutalne i bezpożyteczne.

Wstrętem przejmowała go myśl, że należy do tych nędzarzy, okrytych błotem, czołgających się po krainie o barwie błota i usiłujących zdobywać te szczyty szare, bronione przez nieprzyjaciela, nie zbliżającego się nigdy poza granicę widnokregu.

Gdzież jest to osławione podniesienie bojowe? Dotychczas nie widział na oczy wroga. I żaden z towarzyszy jego w obozie nie widział go także. Razili ich wrogowie niewidzialni, i to nawet nie żołnierze, lecz obdarci, brodaci wieśniacy, mierzący do nich z nor krecich lub z pomiędzy głazów.

Z jedną tylko osobą w całym obozie Dzieciak sympatyzował, a osobą tą był stary Kelly,

ordynans pułkownika, służący już przy nim od lat jakich trzydziestu.

Konserwatywny, jak wogóle Irlandczycy, Kelly nie ukrywał także pogardy niewysłowionej do nowoczesnych reform wojskowych.

— Prawdę mówisz, paniczu—potakiwał Dzieciakowi—wstrętne wyglądamy w tych ubraniach z khaki. Nic dziwnego, że wróg niewiele sobie z nas robi, widząc, iż nie lepsi jesteśmy od niego. Ot, dawniej: szeregi mundurów szkarłatnych, orkiestry grzmiące, to, paniczu, dodawało serca ludziom, a strachu wrogowi! Trzeba to było widzieć, paniczu. Choćby człowiek chciał, nie



Otoczyła nas cała banda... ze dwudziestu.

mógłby przegrać bitwy w takim mundurze! A dzisiaj co? albo to wojna?

\* \* \*

Pułkownik spoglądał przez ramię na postać, skurczoną przy piecyku naftowym. Milczenie syna, zwykle tak wymownego, uderzyło ojca. Nagle położył fajkę na stole i podniósł się z krzesła: usłyszał szczechanie zębów Dzieciaka.

— Wracasz z placówki? Co? Zaziębiłeś się?—pytał głosem zmienionym, podchodząc do syna i ujmując go za kiść reki.

Skóra była wilgotna—i puls normalny. Nie, to nie gorączka. Ale chłopcem wstrząsnęły znów drgawki konwulsyjne. Pułkownik sięgnął po flaszkę, nalał wódki w kubek, dopełnił go wodą i podał synowi.

— Wypić to!—rzekł głosem rozkazującym.

Machinalnie ująwszy rękoma bładem kubek podany, chłopak przechylił go do ust, a zęby jego szczechęły, uderzając o metal.

Wypił. Ogień rozszedł mu się po całym ciele. Uczuł ulgę fizyczną, ale zarazem cała burza uczuć, kłębiących się w sercu, buchnęła ustami.

— Dosyć mam tego—zawołał gwałtownie głosem histerycznym—dosyć! Zbrzydło mi to! Nie, ojcze, nie mogę, nie mogę wytrzymać tego!... Tam, ojcze, pocisk rozerwał na dwoje człowieka... Wdzieliśmy go, idąc na placówki. Straszne to, ojcze, wstrętne, nieludzkie! Pójdę, ojcze, ucieknę...

Nagle zamilkł. Przeraził się słów własnych. Pojął, co powiedział. Skurczony więc, bez tchu, bojąc się wznieść oczy na ojca, czekał uderzenia.

Widział tylko raz czy dwa razy w życiu ojca rozgniewanego. Był to gniew straszny, niszczący. Poza powłoką bowiem człowieka statecznego, metodycznego kryła się w duszy pułkownika duma żelazna zawodu i rasy.

Długie milczenie zapanowało w namiocie. Wtem wśród szumu krwi, bijącej mu gwałtownie do głowy, Dzieciak usłyszał głos dziwnie spokojny:

— Ciepło ci? co? A więc teraz słuchaj, chłopcze. Połóżysz się natychmiast na łóżko moje i zaśniesz. Ani słowa więcej. Musisz odpocząć, gdyż zrana mam dla ciebie pracę nielada. Spać!

To mówiąc, ujął syna pod pachy, ułożył na łóżku połowem i okrył futrem.

\* \* \*

Pułkownik siadł przy stole, skreślił słów kilkanaście na ćwiartce papieru, wyszedł przed namiot i przywołał ordynansa.

— O świcie—rzekł do starego żołnierza—syn mój spróbuje przedrzeć się z tym oto raportem przez linie nieprzyjacielskie. Wiem, Kelly, że znasz już okolice, będziesz mu więc towarzyszył. Osiodłasz dla niego moją Bess, a sam weź kasztana. Koń dobry.

\* \* \*

Dzieciak zerwał się z łóżka. Przy łóżku stał pułkownik z filiżanką kawy dymiącej. Przez odchyloną szmatę wejścia wdzierało się do namiotu białe światło świtu z rzeźkim powiewem porannym.

— Śpiesz się, chłopcze!—mówił pułkownik i, gdy Dzieciak, siadłszy na skraj łóżka, pił kawę, objaśniał go, co ma uczynić. Otoczeni byli zewsząd przez Boerów. Należało przedrzeć się pomiędzy ich placówkami i doręczyć raport w armii głównej.

Chłopiec słuchał w milczeniu. Rozumiał, że czyn, którego ma dokonać, to czyn rozpaczliwy, szalony. Mimo to serce biło mu niecierpliwą. Gdy wyszedł przed namiot, zdarzenia nocy ubiegłej zdawały mu się snem złym, męczącym. Niebo błękitniało coraz bardziej, świeżość poranku natchnęła wszystko życiem. Siadłszy na koń, uczuł błogość niezwykłą. Nareszcie, nareszcie urzeczywistnia się ta wojna, o której marzył.

Pułkownik stał w ciemnym otworze namiotu, patrząc za odjeżdżającymi. Dzieciak wykreślił się w siodle, uśmiechnął się i skinął ojcu ręką. Ojciec odpowiedział skinieniem, zawrócił nagle i znikł w namiocie.

Dzień robił się coraz jaśniejszy, wzgórze jednak, otaczające obóz, nie dawały znaku życia. Cisza panowała na nich, i stawało się coraz prawdopodobniejszym, że dnia tego ataku nie będzie. Zdarzyło się widać coś, co odciągnęło Boerów od obozu. Przepuszczenie to zaczęło nabierać prawdopodobieństwa, gdy gdzieś daleko, bardzo daleko odezwały się działa, a następnie, w parę godzin później nadszedł za pomocą telegrafu świetlnego rozkaz, aby nie opuszczać pozycji.

Pułkownik wrócił do namiotu i zasłonił wejście do niego. W chwilach takich nawet major nie odważyłby się przerwać rozmyślań wodzowi.

Nadeszło południe. Słońce wysuszyło kałuże nocne, a stopy żołnierzy rozbiły grudy na kurz. Promienie upalne, oślepiające zalewały obóz. Odchyliła się szmata, zasłaniająca wejście, i na progu namiotu stanął cień wysoki. Pułkownik zerwał się z krzesła. Potężna pierś jego oddychała ciężko, głowa wyprostowana, dumna spoglądała uporczywie na przybysza.

W progu namiotu stał, słaniając się na nogach, Kelly, krwią i błotem okryty, w bluzie podartej, z gołą głową szpakowatą, po której ściekały krople krwi, zastygające czarnymi pasmami na twarzy i szyi.

Z gardła zaschniętego wrywał się głos ochryply, świszczący. Od czasu do czasu stary podnosił rękę i ocierał wargi spieczone, krwawiące.

— Me!duję—mówił—że przyniosłem go z sobą... Raport dostał się w ręce nieprzyjaciela...

Nie nasza wina... Pędziliśmy, spotykając oddziały ich tu i owdzie... Wreszcie otoczyła nas cała banda... ze dwudziestu... Zanim opamiętaliśmy się, już konie nasze leżały na ziemi... Wołają: Poddaj się... a on nic, tylko strzela i klnie... o, panie, gdybyś słyszał, jak kłął... W tej chwili kula trafiła

mnie tu — palcem grubym, brudnym dotknął rany, biegnącej wzdłuż skroni — padłem... a gdy się ocknął, oni znikli, on zaś leżał na mnie... Serce bohatera, pułkownika, serce bohatera... Przyniosłem go, leży w namiocie majora i tak się uśmiecha, tak uśmiecha... jak...

Srebrne pasma łez spłynęły po policzkach żołnierza. Ruchem gwałtownym start je rękawem poszarpanym bluzy.

— ...I leży okryty cały szkarłatem naszym, szkarłatem żołnierskim.

Przeł. S. BARSZCZEWSKI.

NADESŁANE.

**MYDŁO z MLEKA LILIOWEGO „KONIK”**  
**BERGMANN i Ska. RADEBEUL - DREZNO**  
daje rumiany, młodzieńczo-swieży wygląd, czystą, białą, miękką jak jedwab skórę oraz delikatną, osłepiająco piękną cerę.  
Po 50 kop. dostać można wędzie.  
Główny skład na Państwo Rosyjskie: **BIURO CHEMICZNYCH PREPARATÓW ST - PETERSBURG, Newski 28, dom Singera.**



**A. WRÓBLEWSKI i Ska**  
**SKŁADY WŁASNE**  
**DO PRZECHOWANIA**  
**TREBACKA 13 MEBLI. MARSZAŁK 100**  
**WAGONY DO PRZEPROWADZKI OPAKOWANIA**



FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE  
 ORGANY, MELODYKONY  
**GEBETHNER i WOLFF**  
 Warszawa, Krak.-Przed. 1?



Wyprzedajemy z dawnych zapasów

**5,000 gąsiork. wina węg.**

wytrawnego, średniego lub słodkiego po wyjąkowej cenie rub. 1 kop. 20.  
 Dostawa 15 gąsiorków franko.

Skład Win i Koniaku

**Braci KEMPNERÓW**

Długa Nr 5. Telefonu Nr 772.

**W. CYBULSKI i S-ka** Telefon 60-29  
 Warszawa, Nowo-Senatorska 7.  
 Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

Nagrodzone złotymi medalami, a zalecane przez pp. doktorów i lekarzy-dentystów, eliksir, prosek i pastę

**TYMENTOL**

jako najlepsze środki do czyszczenia i konserwowania zębów, oraz odświeżania jamy ustnej, poleca **Centralne Laboratorium Chemiczne** (Czekay i Kryszewicz) w Warszawie. Sprzedaż w składach aptecznych.

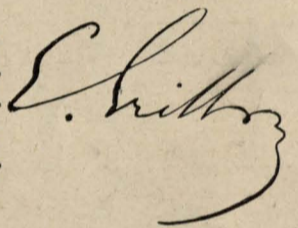
PASTILLES  
 DE  
**TAMAR  
 INDIEN  
 GRILLON**

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający  
 PRZECIW  
**OBSTRUKCYI**

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



księgarnia FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36 przeszła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

księgarnia  
**GEBETHNERA i WOLFFA**  
 w Warszawie  
 poleca:  
**WYBÓR POEZJI**  
 ARTURA OPPMANA (OR-OTA)  
 wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.  
 Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2  
 Do nabycia we wszystkich księgarniach.



ZNAWCA.

- Co to jest, co pani teraz grała?
- To jest mojej kompozycji fantazyja, p. t. „W siódmym niebie”.
- Niepodobna!
- Jakto niepodobna?
- Niepodobna nic a nic do siódmego nieba.

Rys. Fr. Kostrzewski.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**  
 Browaru  
 poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

**LUDWIK SZUFA  
 KRAWIEC**  
 KRAKOW TELEFON 671

**SAGRADA BARBER**

wzmacnia żołądek  
 i łagodnie przeczyszcza

UŻYTECZNE, PRAKTYCZNE, TANIE

**WITRAŻE**

do okien, oraz **KALKOMANIE** naśladowujące słoje i kolory wszelkich drzew i marmuru  
**MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8).**

**HENRYK MICHAUX  
 LEKARZ DENTYSTA**

Warszawa, Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

**Księgarnie Gebethnera i Wolffa**  
 W WARSZAWIE,  
 Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9  
 pośredniczą  
 w prenumeracie pism krajowych i zagranicznych po cenach redakcyjnych.

**J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI** Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny



Sosnowiec  
(gub. Piotr.)  
Telefon 258

ADAMA BRANICKIEGO  
dawniej  
Sternicki i Branicki

Pierwszej w kraju fabryki  
owsianych produktów od-  
żywczych i kawy słodowej



Popierajcie wytwórczość krajową i kupujcie tylko:  
Owsianą kaszę zdrowia, Owsianą mączkę zdrowia,  
Owsiane kakao zdrowia, Kawę słodową zdrowia,  
Dozwolone przez Warsz. Urz. Lekarski za Nr 6230.

Zdrowe  
i posilne



DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”

mamy na składzie

**Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”**

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

**piękne artystyczne teczki**

do albumu „**DUCH REWOLUCYONISTA**” A. Kamińskiego

po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.

Do cyklu „**BOŻY ROK**” Piotra Stachewicza

po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH  
EKSTRAKT I KARMEŁKI

**LELIWA**

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.  
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

Rynek głów. Ilnia AB róg ul. Floryańskiej  
**KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI**

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

**Od Administracji.**

Agentury nasze: G. Gebethner i Spółka w Krakowie  
i S. Sokołowski we Lwowie posiadają na składzie resztę pre-  
mium „Tygodnika Ilustrowanego” z 1908 r., **album**

**„Duch-Rewolucyonista” Antoniego  
Kamińskiego**

Cena albumu broszuowanego Kor. 5.— (rb. 2)  
” ” w ozdobnej oprawie ” 10.— (rb. 4)  
Za przesyłkę pocztową albumu dopłaca się ” 1.— (kop. 60).

**L. Lipiński** { Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. } **Wielki wybór brylantów, kolorowych kamieni i pereł oraz biżuterii złotej i sre-**  
{ WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie, } **brnej w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.**

Złoty medal—Ciechocinek 1908 **Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzećinowych T. & W. Krakowscy** Magazyn—Warszawa,  
Srebrny medal—Wilno **Aleje Ujazdowskie 16. Tel. 70-10**

PLYN **HEMOGEN MAGISTRA KLAWE** stosowany przy ogólnem osłabie- Wyrób laboratorium aptek i  
Cena flak. rub. 1. **ni, małokrwistości, osł. nerwów ko dzielny środek krwiotwór- Magistra Klawe, Warszawa,  
rub. 1. **czy i pobudzający apetyt. 10 Pl. Św. Aleksandra****

**Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90**

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.



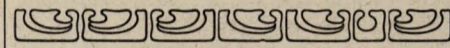
**L. MARCHOWIECKI** Krak.-Przedmieście 23  
(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, ciepłe pantofle, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

**SALON „ARS”**

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.



**ODPOWIEDZI.**

*P. Maryli Czerk.* Nadesłanych wierszy nie wydrukujemy z powodu przepełnienia teki redakcyjnej.

*P. Edmundowi Obecnemu.* Do kosza!

*Prenumeratorowi z Baku.:* 1) Historia Polski: Lewicki, Smoleński, Bobrzyński, Dmochowski, Grzymałowski, Tatmir; dla początkujących: Anczyc, Chociszewski, Pisarzewska, Kisielewska, Lejowa; także Kutrzeba: „Historia stroju Polski w zarysie”; 2) Historia powszechna: Korzon (5 części), Zakrzewski (3 części), Zdanowicz, Doleżan; 3) Literatura polska: Chrzanowski, Brückner, Chmielowski, Tarnowski; 4) Lippert: „Historia cywilizacji w zarysie”, Tylor: „Antropologia”, Krzywicki: „Ludy”, Lubbock: „Początki cywilizacji”, Engels: „Początki cywilizacji”. Bliższe informacje w części II „Poradnika dla samouków”; katalogi wysłać na żądanie księgarnia Gebethnera i Wolfa w Warszawie.

*Prenumeratorowi w Warszawie.* Żałujemy bardzo, ale redakcja nasza nie może ustępować nowości wydawniczych po cenach niższych.

*P. Maryanowi Hochowi w Sokołowie.* Istnieje szkoła cukrownicza w Warrenne (Belgia) przy Collège St. Louis; ogłaszała się w *Gazecie Cukrowniczej*. Kurs roczny; opłata 400 fr.; kursy rozpoczynają się 15 października; szkoła wydaje po egzaminie dyplomy inżynierów-cukrowników; prospekty na żądanie wysyła dyrektor, mr. l'abbé Jadoul. Prócz tego w Brunświku istnieją kilkomiesięczne kursy cukrownicze dr. Frühlinga. Takie same kursy istnieją

w Glon pod Liège (Belgia). Wreszcie w Warszawie będą w tym roku zorganizowane takie same, jak przed dwoma laty, czteromiesięczne kursy dla pracowników w cukrowniach, o ile zapisze się odpowiednią ilość kandydatów.

*Prenumeratorowi z m. Łodzi.* Wiemy o istnieniu bardzo dobrej szkoły ceramicznej w Kołomyi. O inne informacje bliższe i obszerniejsze radzimy zwrócić się do redakcji *Przeglądu Ceramicznego* w Krakowie.

*P. Bolesławowi Bib. w. M.* Niestety! i tym razem nie skorzystamy: styl i obrazowanie nie stoją na wysokości naszych wymagań.

*P. A. Orkanowi.* Niestety! i „rymowanie i gładkość stylu” nie stoją na właściwym poziomie. W pierwszym zaraz dwuwierszu np. czytamy taki zwrot: „Cisza... świat w uśpieniu marzy, po trudach dziennych skłoniwszy swe czoła” (dlaczego nie: czoło?). Takich usterek jest więcej.

*I. O. T.* W utworach Pańskich coś dzwoni, znać poczucie melodyi wiersza, oraz pewną zdolność rymowania. Ale jednocześnie zdradza się w nich brak wyrobienia, rytm nieraz załamuje się, styl nie jest dość obrazowy, rymy pospolite i gramatyczne. Trzeba jeszcze dużo pracować, jeżeli się chce sięgnąć ponad poziom miłej, a nieszkodliwej rozrywki rymowania. Rękopis do zwrotu za nadesłaniem kosztów przesyłki pocztowej.

**OD ADMINISTRACJI.**

Z powodu nadspodziewanie licznych zażądań dzieł dla prenumeratorów „Tygodnika” znizonych i w skutek tego wyczerpania pewnych tomów, zmuszeni jesteśmy dzieła wyczerpane zastąpić innemi, o czem Szanownych Prenumeratorów niniejszem zawiadamiamy.